

Prus, Bolesław
**Na wakacjach ;
Katarynka**

AD-3724

KSIĄŻKA
TOW. SZKOŁY LUDOWEJ



BIBLIOTEKA KOŁA T. S. L.
W RZESZOWIE.

BIBLIOTECZKA UNIwersYTETÓw LUDOWYCH 7

BOLESŁAW PRUS

(ALEKSANDER GŁOWACKI)

NA WAKACJACH KATARYNKA

WYDANIE NOWE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA KRAKÓW LUBLIN ŁÓDŹ POZNAŃ
THE POLISH BOOK IMPORTING COMPANY INC. NEW YORK

221.162.13

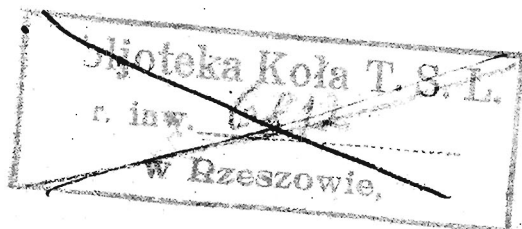


549

A-3724

4071

47070



NA WAKACYACH.

Wieczorem, jak zwykle, przyszedł do mnie mój szkolny kolega. Mieszkaliśmy obaj na wsi, o kilka wiorst od siebie, i widywaliśmy się prawie codziennie. Był to przystojny blondyn, którego łagodne oczy mogły rozmarzyć niejedną kobietę. Mnie pociągał jego niewzruszony spokój i trzeźwość umysłu.

Tego dnia spostrzegłem, że mu coś dolega; patrzył w ziemię i gorączkowo uderzał się po nogach szpicrutą. Nie uważałem za stosowne pytać go o powód widocznego zakłopotania, ale on sam zaczął.

— Wiesz — odezwał się — miałem dziś głupi wypadek.

Zdziwiłem się; było rzeczą prawie niepodobną, ażeby »głupi wypadek« mógł się zdarzyć tak panującemu nad sobą człowiekowi.

— Mieliliśmy — mówił dalej — zrana, we wsi pożar. Spaliła się chałupa....

— A tyś może skoczył w ogień?... — przerwałem mu trochę drwiącym tonem.

Wzruszył ramionami, i zdawało mi się, że się lekko zarumienił; zresztą może mu padł na twarz blask zachodzącego słońca.

— Zapaliły się — ciągnął po przerwie — konopie na strychu u chłopca, a w kilka minut później strzecha. Czytałem w tej chwili jakiś zajmujący rozdział Say'a, ale na widok kłębow czarnego dymu i płomyków, wydobywających się ze szczelin przy kominie, opanowała mnie filisterska ciekawość i powlokłem się na miejsce. Ludzie byli przy robocie, więc zastałem zaledwie kilka osób: dwie baby, lamentujące nad nieszczęściem, organiścinę, która obrazem św. Floryana zażegnywała pożar, i chłopca, który medytował, trzymając w obu rękach pustą konewkę. Od nich usłyszałem, że chałupa zamknięta, bo gospodarz z kobietą wyszli w pole.

— »Oto nasz system budowania!... — pomyślałem. — Domi płonie, jakby go prochem nabiło«.

Istotnie, w ciągu kilku minut, cały dach stał w płomieniu: dym gryzł w oczy, a ogień tak mocno przypiekał, że, z obawy o żakietę, musiałem cofnąć się o parę kroków.

Tymczasem nadbiegło więcej ludzi z oskami, siekierami i wodą: jedni poczęli wywracać płot, któremu nic nie groziło, inni lali wodę z konewek w taki sposób, że, nie tknąwszy ognia, przemoczyli do nitki zgromadzonych, a jedną babę wywrócili na ziemię. Nie robiłem im żadnych uwag, wiedząc, że nic nie grozi dalszym budynkom; chałupa zaś była nie do uratowania.

Nagle ktoś krzyknął: »Tam jest dziecko, ten mały Stasiuś!... — »Gdzie?«... — spytano. — »W cha-

łupie, śpi w nieckach pod oknem... Ino który wybij szybę, a jeszcze wyciągniesz żywego!«...

Nikt się jednak nie ruszył. Słoma na dachu już spłonęła, a krokwie żarzyły się, jak rozpalone druty.

Wyznaję, że, gdym to usłyszał, serce drgnęło mi w niezwykle sposób.

»Jeżeli nikt nie idzie — pomyślałem — więc ja pójdę... Na uratowanie chłopca wystarczy pół minuty. Czasu aż nadto, ale — jakież piekielne gorąco!«...

— »No, rusz-że się któryś! — wołały baby. — O wy, psie dusze, nie warciśta nazywać się chłopami!«... — »To leż sama w ogień, kiedyś taka mądra! — ofuknął ktoś z tłumu. — Tam pewna śmierć, a dziecko, słabe, jak kurczę, i tak już nie żyje!«...

»Ładnie! — pomyślałem — nikt nie idzie, a ja jeszcze się waham! Chociaż — szepnęła mi rozważa — jakie лихо ciągnie mnie do bezcelowej awantury?... Czy ja wiem, gdzie leży dzieciak?... Może wypadł z niecek?«...

Belki już były zwęglone i z głuchym trzaskiem zaczęły się wyginać.

»Ale trzeba wkońcu wdrzeć się tam — myślałem — każda sekunda jest droga. Dzieciak przecie nie może spalić się, jak robak«. — Lecz, jeżeli już nie żyje?... — odpowiedziało zastanowienie: — w takim razie szkoda nawet surduta!«...

Zdaleka odczuwał się straszny krzyk kobiety: »Ratujcie dziecko!«... — »Trzymajcie ją!... -- zawołano w odpowiedzi. — Skocz w ogień i zgini!«...

Usłyszałem za sobą jakieś szamotanie i ten

sam krzyk: »Puszczajcie!... to moje dziecko!... to moje dziecko!«... — »Ciągnij ją wpół!«... — odpowiedziano.

Nie mogłem wytrzymać i rzuciłem się naprzód. Owionął mnie żar, dym, dach zatrzeszczał, jakby go rozdarto, z komina posypały się cegły. Poczułem, że mi się tlą włosy i — cofnąłem się rozgniewany: »Co za głupi sentymentalizm! — pomyślałem — dla garstki ludzkich popiołów robić z siebie straszidło?... Jeszcze powiedzą, że tanim kosztem chciałem zostać bohaterem!«...

Wtem potrafiła mnie jakaś młoda dziewczyna, biegnąca do chaty. Usłyszałem brzęk wybitych szyb, a gdy nagły wiatr odgarnął tuman dymu, zobaczyłem ją w oknie, tak silnie pochyloną do wnętrza izby, że widać było jej nieumyte nogi.

»Co ty robisz, waryatko? — krzyknąłem — tam już jest trup, nie dziecko!«... — »Jagna! chodzi tu!«... — zawołano z tłumu.

Pułap zapadł się, aż iskry sypnęły do nieba. Dziewczyna znikła w dymie, a mnie pociemniało w oczach.

»Ja—gna!«... — powtórzył lamentujący głos.

»Zara!... zara!«... — odpowiedziała dziewczyna, przebiegając koło mnie z powrotem.

Z wysiłkiem dźwigała w ręku chłopca, który obudziwszy się, wrzeszczał w niebogłosey.

— Więc dziecko żyje? — spytałem.

— Jak najzdrowsze.

— A dziewczyna... czy to jego siostra?

— Gdzież tam! — odparł; — zupełnie obca;

nawet służy u innego gospodarza i ma najwyżej piętnaście lat.

— I nie się jej nie stało?

— Opaliła sobie chustkę i trochę włosów. Idąc tu, widziałem ją: skrobała przed sienią kartofle i coś sobie nuciła fałszywym głosem. Chciałem jej wyrazić moje uznanie, nagle jednak przyszedł mi na myśl: jej dziki zapach i mój rozsądny takł wobec cudzego nieszczęścia, i... taki mnie wstyd ogarnął, że nie śmiałem do niej przemówić ani wyrazu... My już tacy!... — dodał i począł szpicróżgą ścinać rosnące przy drodze badyle.

Na niebie zaczęły się pokazywać gwiazdy, i chłodny wiatr przyniósł od stawu rehotanie żab i kwilenie zabierających się do snu ptaków wodnych. Zwykle o tej porze obaj układaliśmy projekty na przyszłość, lecz dziś żaden ust nie otworzył. Za to zdawało mi się, że dokoła nas szepcą krzaki:

— Wy już tacy!...



KATARYNKA.

Na ulicy Miodowej, codziennie, około południa, można było spotkać jegomościa w pewnym wieku, który chodził z placu Krasieńskich ku ulicy Senatorskiej. Latem, nosił on wykwiłtne, ciemno-granatowe palto, popielate spodnie od pierwszorzędnego krawca, buty połyskujące, jak zwierciadła — i — nieco wyszarżany cylinder.

Jegomość miał twarz rumianą, szpakowate faworyty i siwe, łagodne oczy. Chodził pochyłony, trzymając ręce w kieszeniach. W dzień pogodny nosił pod pachą laskę; w pochmurny — dźwigał jedwabny parasol angielski.

(Był zawsze głęboko zamyślony) i posuwał się zwolna. Około Kapucynów dotykał pobożnie ręką kapelusza i przechodził na drugą stronę ulicy, ażeby zobaczyć u Pika: jak stoi barometr i termometr? Potem znowu zawracał na prawy chodnik, zatrzymywał się przed wystawą Mieczkowskiego, oglądał fotografie Modrzejewskiej — i szedł dalej.

W drodze ustępował każdemu, a potrącony, uśmiechał się życzliwie.

Jeżeli kiedy spostrzegł ładną kobietę, zakładał binokle, aby przypatrzeć się jej. Ale, że zrobił to flegmatycznie, więc zwykle spotykał go zawód.

Ten jegomość był to — pan Tomasz.

Pan Tomasz trzydzieści lat chodził ulicą Miodową, i nieraz myślał, że się na niej wiele rzeczy zmieniło. To samo ulica Miodowa pomyślećby mogła o nim.

Gdy był jeszcze obrońcą, biegał tak prędko, że nie uciekłyby przed nim żadna szwaczka, wracająca z magazynu do domu. Był wesoły, rozmowny, trzymał się prosto, miał czuprynę i nosił wąsy, zakręcone ostro do góry. Już wówczas sztuki piękne robiły na nim wrażenie, ale czasu im nie poświęcał, bo szalał — za kobietami. Co prawda, miał do nich szczęście i nieustannie był swatany. Ale cóż z tego, kiedy pan Tomasz nie mógł nigdy znaleźć ani jednej chwili na oświadczyń, będąc zajęty, jeżeli nie praktyką, to — schadzками. Od Frani szedł do sądu, z sądu biegł do Zosi, którą nad wieczorem opuszczał, ażeby z Józią i Filką zjeść kolację.

Gdy został mecenasem, czoło, skutkiem natężonej pracy umysłowej, urosło mu aż do ciemienia, a na wąsach pokazało się kilka srebrnych włosów. Pan Tomasz pozbył się już wówczas młodościowej gorączki, miał majątek i ustaloną opinię znawcy sztuk pięknych. A że kobiety wciąż kochał, więc począł myśleć o małżeństwie. Najął nawet mieszkanie, z sześciu pokojów złożone, urządził w niem na własny koszt posadzkę, sprawił obicia, piękne meble — i szukał żony.

Ale człowiekowi dojrzałemu trudno zrobić wybór. Ta była za młoda, a tamtą uwielbiał już zbyt długo. Trzecia miała wdzięki i wiek właściwy, ale nieodpowiedni temperament, a czwarta posiadała wdzięki, wiek i temperament należyty, ale... nie czekając na oświadczyzny mecenasa, wyszła za doktora...

Pan Tomasz jednak nie martwił się, ponieważ panien nie brakło. Ekwipował się powoli, coraz usilniej dbając o to, ażeby każdy szczegół jego mieszkania posiadał wartość artystyczną. Zmieniał meble, przestawiał zwierciadła, kupował obrazy.

Nareszcie porządki jego stały się sławne. Sam nie wiedząc kiedy, stworzył u siebie galerię sztuk pięknych, którą coraz liczniej odwiedzali ciekawi. Że zaś był gościnny, przyjęcia robił świetne i utrzymywał stosunki z muzykami, więc nieznacznie zorganizowały się u niego wieczory koncertowe, które nawet damy zaszczycały swoją obecnością.

Pan Tomasz był wszystkim rad, a widząc w zwierciadłach, że czoło przerosło mu już ciemnie i sięga w tył do białego, jak śnieg, kołnierzyka, coraz częściej przypominał sobie, że bądź co bądź trzeba się ożenić. Tembardziej, że dla kobiet wciąż czuł życzliwość.

Raz, kiedy przyjmował liczniejsze, niż zwykle, towarzystwo, jedna z młodych pań, rozejrzawszy się po salonach, zawołała:

— Co za obrazy... A jakie gładkie posadzki!... Zona pana mecenasa będzie bardzo szczęśliwa.

— Jeżeli do szczęścia wystarczą jej gładkie

posadzki — odezwał się na to półgłosem serdeczny przyjaciel mecenasa.

W salonie zrobiło się bardzo wesoło. Pan Tomasz także uśmiechnął się, ale od tej pory, gdy mu kto wspomniał o małżeństwie, machał niedbale ręką, mówiąc:

— I, i, i!...

W tych czasach ogolił wąsy i zapuścił faworyty. O kobietach wyrażał się zawsze z szacunkiem, a dla ich wad okazywał dużą wyrozumiałość.

Nie spodziewając się niczego od świata, bo już i praktykę porzucił, mecenas całe, spokojne uczucie swoje skierował do sztuki. Piękny obraz, dobry koncert, nowe przedstawienie teatralne, były jakby wiorstowymi słupami na drodze jego życia. Nie zapalał się, nie unosił, ale — smakował.

Na koncertach wybierał miejsca odległe od estrady, ażeby słuchać muzyki, nie słysząc hałasów i nie widząc artystów. Gdy szedł do teatru, obeznawał się najprzód z utworem dramatycznym, ażeby bez gorączkowej ciekawości śledzić grę aktorów. Obrazy oglądał wówczas, gdy było najmniej widzów, i spędzał w galerii całe godziny.

Jeżeli podobało mu się coś, mówił:

— Wiecie państwo, że to jest wcale ładne.

Należał do tych niewielu, którzy najpierwej poznają się na talencie. Ale utworów miernych nigdy nie potępiał.

— Czekaście, może się jeszcze wyrobił — mówił, gdy inni ganili artystę.

I tak zawsze był pobłażliwy dla niedoskonałości ludzkiej, a o występach nie rozmawiał.

Na nieszczęście, żaden śmiertelnik nie jest wolny od jakiegoś dziwactwa, a pan Tomasz miał także swoje. Oto — nienawidził katarzyniarzy i katarynek.

Gdy mecenas usłyszał na ulicy katarynkę, przyśpieszał kroku i na parę godzin tracił humor. On, człowiek spokojny — zapalał się, jak był cichy — krzyczał, a jak był łagodny — wpadał w gniew, na pierwszy odgłos katarynkowych dźwięków.

Z tej swojej słabości nie robił przed nikim tajemnicy, nawet tłumaczył się:

— Muzyka — mówił wzburzony — stanowi najsubtelniejsze ciało ducha, w katarynce zaś duch ten przeradza się w funkcyę maszyny i narzędzie rozboju. Bo katarzyniarze są po prostu rabusiel. Zresztą — dodawał — katarynka rozdrażnia mnie, a ja mam tylko jedno życie, którego mi nie wypada trwonić na słuchanie obrzydliwej muzyki.

Ktoś złośliwy, wiedząc o wstępie mecenasa do grających machin, wymyślił niesmaczny żart — i... wysłał mu pod okna dwu katarzyniarzy. Pan Tomasz zachorował z gniewu, a następnie, odkrywszy sprawcę, wyzwał go na pojedynek.

Aż sąd honorowy trzeba było zwoływać dla zapobieżenia rozlewowi krwi, o rzecz tak małą na pozór.

Dom, w którym mecenas mieszkał, przechodził kilka razy z rąk do rąk. Rozumie się, że każdy nowy właściciel uważał za obowiązek podwyższać wszystkim komorne, a najpierwej panu Tomaszowi. Mecenas z rezygnacją płacił podwyżkę.

ale pod tym warunkiem, wyraźnie zapisanym w umowie, że katarynki grywać w domu nie będą.

Niezależnie od kontraktowych zastrzeżeń, pan Tomasz wzywał do siebie każdego nowego stróża i przeprowadzał z nim taką mniej więcej rozmowę:

— Słuchaj-no, kochanku... A jak ci na imię?...

— Kazimierz, proszę pana.

— Słuchajże, Kazimierzu! Ile razy wrócę do domu późno, a ty otworzysz mi bramę, dostaniesz dwadzieścia groszy. Rozumiesz?...

— Rozumiem, wielmożny panie.

— A oprócz tego będziesz brał ode mnie dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz za co?...

— Nie mogę wiedzieć, jaśnie panie — odpowiedział wzruszony stróż.

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek.

— Rozumiem, jaśnie wielmożny panie.

Lokal mecenasa składał się z dwu części. — Cztery większe pokoje miały okna od ulicy, dwa mniejsze — od podwórza. Paradna połowa mieszkania przeznaczona była dla gości. W niej odbywały się rauty, przyjmowani byli interesanci i stawali krewni albo znajomi mecenasa ze wsi. Sam pan Tomasz ukazywał się tu rzadko i tylko dla sprawdzenia, czy wywoskowano posadzki, czy starło kurz i nie uszkodzono mebli.

Całe zaś dni, jeśli nie przepędzał ich za domem, przesiadywał w gabinecie od podwórza. Tam czytywał książki, pisywał listy, albo przeglądał dokumenty znajomych, którzy prosili go o radę. A gdy

nie chciał forsować wzroku, siadał na fotelu, naprzeciw okna i, zapaliwszy cygaro, zatapiał się w rozmyślaniach. Wiedział on, że myślenie jest ważną funkcją życiową, której nie powinien lekceważyć człowiek, dbający o zdrowie.

Z drugiej strony podwórza, wprost okien pana Tomasza, znajdował się lokal, wynajmowany osobom mniej zamożnym. Długi czas mieszkał tu stary urzędnik sądowy, który, spadłszy z etatu, przeniósł się na Pragę. Po nim najał pokoiki krawiec — lecz, że ten lubił niekiedy upijać się i hałasować, więc wymówiono mu mieszkanie. Później sprowadziła się tu jakaś emerytka, wiecznie kłócąca się ze swoją służką.

Ale od św. Jana staruszkę, już bardzo zgrzybiałą i wcale zasobną, pomimo jej kłótliwego usposobienia, wzięli na wieś krewni, a do lokalu sprowadziły się dwie panie, z małą, może ośmioletnią, dziewczynką.

Kobiety utrzymywały się z pracy. Jedna szyła, druga wyrabiała pończochy i kaftaniki na maszynie. Młodszą z nich i przystojniejszą dziewczynka nazywała mamą, a starszej mówiła: pani.

I u mecenasa i u nowych lokatorów okna przez cały dzień były otwarte. Kiedy więc pan Tomasz usiadł na swoim fotelu, doskonale mógł widzieć, co się dzieje u jego sąsiadek.

Były tam sprzęty ubogie. Na stołach i krzesłach, na kanapie i na komodzie leżały tkaniny, przeznaczone do szycia, i kłębki bawełny na pończochy.

Z rana kobiety same zamiatały mieszkanie,

a około południa najemnica przynosiła im niezbyt obfity obiad. Zresztą każda z nich prawie nie odstępowała od swojej turkoczącej maszyny.

Dziewczynka zwykle siedziała przy oknie. — Było to dziecko z ciemnymi włosami i ładną twarzą, ale blade i jakieś nieruchawe. Czasami dziewczynka za pomocą dwu drutów wiązała pasek z bawelnianych nici. Niekiedy bawiła się lalką, którą ubierała i rozbierała powoli, jakby z trudnością. Czasami nie robiła nic, tylko, siedząc w oknie, przysłuchiwała się czenus.

Pan Tomasz nie widział nigdy, ażeby dziecko to śpiewało lub biegło po pokoju, nie widział nawet uśmiechu na bledziutkich ustach i nieruchomej twarzy.

— Dziwne dziecko! — mówił do siebie mecenas i począł przypatrywać się jej uważniej.

Spostrzegł raz (było to w niedzielę), że matka dała jej mały bukietik. Dziewczynka ożywiła się nieco. Rozkładała i układała kwiaty, całowała je. W końcu związała napowrót bukietik, włożyła go w szklaną wodę i, usiadłszy w swoim oknie, rzekła:

— Prawda, mamó, że tu jest smutno....

Mecenas zgorszył się. Jak mogło być smutno w domu, w którym on od tylu lat miał dobry humor!

Jednego dnia mecenas znalazł się w swoim gabinecie około czwartej. W tej godzinie słońce stało naprzeciw mieszkania jego sąsiadek, a świeciło i dogrzewało bardzo mocno. Pan Tomasz spojrział na drugą stronę podwórza i widząc zobaczył

coś niezwykłego, gdyż z pośpiechem założył na nos binokle.

Oto, co spostrzegł:

Mizerna dziewczynka, oparłszy głowę na rękę, położyła się prawie na wznak w swoim oknie — i — szeroko otwartymi oczyma patrzyła prosto w słońce. Na jej twarzyczce, zwykle tak nieruchomej, grały teraz jakieś uczucia: niby radość, a niby żal....

— Ona nie widzi! — szepnął mecenas, opuszczając binokle.

W tej chwili doświadczył klócia w oczach na samą myśl, że ktoś może wpatrywać się w słońce, które ziało żywym ogniem.

Istotnie, dziewczynka była niewidomą od dwu lat. W szóstym roku życia zachorowała na jakąś gorączkę; przez kilka tygodni była nieprzytomna, a następnie tak opadła z sił, że leżała, jak martwa, nie poruszając się i nic nie mówiąc.

Pojono ją winem i bulionami, więc stopniowo przychodziła do siebie. Ale pierwszego dnia, kiedy ją posadzono na poduszce, zapytała matki:

— Mamo, czy to jest noc?...

— Nie, moje dziecko.... A dlaczego ty tak mówisz?

Ale dziewczynka nie odpowiedziała; spać się jej chciało. Tylko nazajutrz, gdy w południe przyszedł lekarz, spytała znowu:

— Czy to jeszcze jest noc?...

Wtedy zrozumiano, że dziewczynka nie widzi. Lekarz zbadał jej oczy i zaopiniował, że trzeba czekać.

Ale chora, im bardziej odzyskiwała siły, tem mocniej niepokoiła się swojem kalectwem....

— Mamo, dlaczego ja mamy nie widzę?...

— Bo tobie oczki zasłoniło. Ale to przejdzie.

— Kiedy przejdzie?...

— Niezadługo.

— Może jutro, proszę mamy?

— Za kilka dni, moja dziecino.

— A jak przejdzie, to niech mi mama zaraz powie. Bo mi jest bardzo smutno!...

Mijały dni i tygodnie w ciągłym oczekiwaniu. Dziewczynka poczęła już wstawać z łóżeczka. Nauczyła się chodzić po pokoju oparckiem, sama się ubierała i rozbierała, powoli i ostrożnie.

Ale wzrok nie wracał.

Jednego razu mówiła:

— Prawda, mamo, że ja mam niebieską sukienkę?...

— Nie, dziecko, masz popielatą.

— Mama ją widzi?

— Widzę, moje kochanie.

— Tak, jak i w dzień?

— Tak.

— Ja także będę widziała wszystko za kilka dni?... Nie, może za miesiąc....

Ale ponieważ matka nie odpowiedziała jej nic, więc mówiła dalej:

— Prawda, mamo, że na dworze ciągle jest dzień?... A w ogrodzie są drzewa, tak jak dawniej?... Czy do nas przychodzi ten biały kotek z czarnemi łapami?... Prawda, mamo, że ja widziałam siebie w lustrze?... Niema tu lustra?...

Matka podaje jej lusterko.

— Trzeba patrzeć tutaj, o tu, gdzie jest gładkie — mówiła dziewczynka, przykładając lustro do twarzy. — Nic nie widzę! — rzekła. — Czy i mama nie widzi mnie w lusterku?

— Widzę cię, moja płaszyno.

— Jakim sposobem?... — zawołała dziewczynka żałośnie. — Przecie, jeżeli ja nie widzę siebie, to już w lustrze nie powinno być nic.... A tamta, co jest w lustrze, czy ona mnie widzi, czy nie widzi?..

Ale matka rozplakała się i wybiegła z pokoju.

Najmilszem zajęciem kaleki było dotykać rękoma drobnych przedmiotów i poznawać je.

Jednego dnia przyniosła jej matka lalkę porcelanową, ładnie ubraną, za rubla. Dziewczynka nie wypuszczała jej z rąk, dotykała jej noska, ust, oczu, dieściła się nią.

Poszła spać bardzo późno, wciąż myśląc o swej lalce, którą ułożyła w pudełku, wysłanem wata.

W nocy zbudził matkę szmer i szept. Zerwała się z pościeli, zapaliła świecę i zobaczyła w kącie swoją córkę, już ubraną i bawiącą się lalką.

— Co ty robisz, dziecino? — zawołała. — Dlaczego nie spisz?...

— Bo już przecie jest dzień, proszę mamy — odparła kaleka.

Dla niej dzień i noc zlały się w jedno i trwały zawsze....

Stopniowo pamięć wzrokowych wrażeń poczęła zacierać się w dziewczynce. Czerwona wiśnia stała się dla niej wiśnią gładką, okrągłą i miękką. Błyszczący pieniądz był twardym i dźwięcznym

krażkiem, na którym znajdowały się jakieś znaki w płaskorzeźbie. Wiedziała, że pokój jest większy od niej, dom większy od pokoju, ulica od domu. Ale wszystko to jakoś skróciło się w jej wyobraźni.

Uwaga jej skierowała się na zmysł dotyku, powonienia i słuchu. Jej twarz i ręce nabrały takiej wrażliwości, że, zbliżywszy się do ściany, czuła o kilka cali lekki chłód. Zjawiska odległe oddziaływały na nią tylko przez słuch. Przysłuchiwała się więc po całych dniach.

Poznawała posuwisty chód stróża, który mówił piskliwym głosem i zamiatał podwórko. Wiedziała, kiedy jedzie z drzewem chłopski wózek drabiniasty, kiedy — dorożka, a kiedy — kary, wywożące śmiecie.

Najmniejszy szelest, zapach, oziębienie się, albo rozgrzanie powietrza nie uszło jej uwagi. — Z niepojętą bystrością pochwytywała drobne te zjawiska i wysnuwała z nich wnioski.

Raz matka zawołała służącą.

— Niema Janowej -- rzekła kaleka, siedząc, jak zwykle, w kąciaku. — Poszła po wodę.

— A skąd wiesz o tem? — zapytała zdziwiona matka.

— Skąd?... Przecież wiem, że brała konewkę z kuchni, potem poszła na drugie podwórze i napełniała wody. A teraz rozmawia ze stróżem.

Istotnie z za parkanu dolatywał szmer rozmowy dwu osób, ale tak niewyraźny, że tylko z wysiłkiem można go było usłyszeć.

Lecz nawet rozszerzona sfera zmysłów ni-

szych nie mogła kalece zastąpić wzroku. Dziewczynka uczuła brak wrażeń i zaczęła tęsknić.

Pozwolono jej chodzić po całym domu, i to ją nieco uspokajało. Wydeptała każdy kamień na podwórzu, dotknęła każdej rynny i beczki. Ale największą przyjemność robiły jej -- podróże do dwu całkiem odmiennych światów: do piwnicy i na strych.

W piwnicy powietrze było chłodne, ściany wilgotne. Przygłuszony turkot uliczny dolatywał z góry; inne odgłosy niknęły. To była noc dla ciemniałej.

Na strychu zaś, szczególnie w okienku, działa się całkiem inaczej. Tam hałasu było więcej, niż w pokoju. Kaleka słyszała turkot wozów z kilku ulic; tu skupiały się krzyki z całego domu. Twarz jej owiewał ciepły wiatr. Słyszała świergot ptaków, szczekanie psów i szelest drzew w sąsiednim ogrodzie. Tu był dla niej dzień...

Nie dość na tem. Na strychu częściej, niż w pokoju, świeciło słońce, a gdy dziewczynka skierowała na nie pogasłe oczy, zdawało jej się, że coś widzi. W wyobraźni budziły się cienie kształtów i barw, ale takie niewyraźne i pierzchliwe, że nie przypomnieć sobie nie mogła...

W tej właśnie epoce matka połączyła się ze swoją przyjaciółką i przeniosła się do domu, w którym mieszkał pan Tomasz. Obie kobiety cieszyły się z nowego lokalu, ale dla niewidomej zmiana miejsca była prawdziwem nieszczęściem.

Dziewczynka musiała siedzieć w pokoju. Na strych i do piwnicy nie wolno było chodzić. Nie

słyszała ptaków, ani drzew, a na podwórzu panowała straszna cisza. Nigdy tu nie wstępowali handlarze starzyzny, ani druciarze, ani śmieciarki. Nie puszczano bab, śpiewających pieśni pobożne, ani dziada, który grał na klawirze, ani katarzyniarzy.

Jedyną jej przyjemnością było wpatrywanie się w słońce, które przecież nie zawsze jednakowo świeciło i bardzo prędko kryło się za domami.

Dziewczynka znowu poczęła tęsknić. Zmizerniała w ciągu kilku dni, a na jej twarzy ukazał się wyraz zniechęcenia i martwości, który tak dziwił pana Tomasza.

Nie mogąc widzieć, kaleka chciała przynajmniej słuchać wciąż najrozmaitszych odgłosów. A w domu było cicho....

— Biedne dziecko! — szeptał nieraz pan Tomasz, przyglądając się smutnemu maleństwu.

— Jakbym mógł dla niej co zrobić? — myślał, widząc, że dziecko jest coraz mizerniejsze i codzien nienie.

Zdarzyło się w tych czasach, że jeden z przyjaciół mecenasa miał proces i, jak zwykle, oddał mu do przejrzenia papiery, z prośbą o radę. Wprawdzie pan Tomasz nie stawał już w sądach, ale, jako doświadczony praktyk, umiał wskazać właściwszy kierunek akcji i wybranemu przez siebie adwokatowi udzielał pożytecznych objaśnień.

Sprawa obecna była zawiślana. Pan Tomasz, im więcej czytywał się w papiery, tembardziej zapalał się. W emerycie ocknął się adwokat. Nie wychodził już z mieszkania, nie sprawdzał, czy

starło kurz w salonach, tylko, zamknięty w swoim gabinecie, czytał dokumenty i notował.

Wieczorem, stary lokaj mecenasa, przyszedł z codziennym raportem. Doniósł, że pani doktorowa wyjechała z dziećmi na letnie mieszkanie, że zepsuł się wodociąg, że odźwierny, Kazimierz, zrobił awanturę ze stójkowym i poszedł na tydzień — do kozy. Zapytał w końcu: czy pan mecenas nie zechce widzieć się z nowo przyjętym stróżem?..

„Ale mecenas, pochylony nad papierami, palił cygaro, puszczał kółka dymu, a na wiernego sługę nawet nie spojrzał.

Na drugi dzień pan Tomasz jeszcze siedział nad aktami; około drugiej zjadł obiad i znowu siedział. Jego rumiana twarz i szponkowate faworyty, na szafirowem tle pokojowego obicia, przypominały »studya z natury«. Matka ociemniałej i jej współniczka, robiąca pończochy na maszynie, podziwiała mecenasa i mówiły, że wygląda na czerstwego wdowca, który ma zwyczaj, od rana do wieczoru, drzemać nad biurkiem.

Tymczasem mecenas, choć przymykał oczy, nie drzemał wcale, tylko rozmyślał nad sprawą.

Obywatel X w roku 1872 zapisał swemu siostrzeńcowi folwark, a roku 1875 — synowcowi kamienicę. Synowiec twierdził, że obywatel X. był waryatem w roku 1872, a siostrzeniec dowodził, że X. oszalał dopiero w roku 1875. Zaś mąż rodzonej siostry nieboszczyka składał nie ulegające wątpliwości świadectwa, że X. i w roku 1872 i w 1875, działał, jak obłąkany, a cały swój majątek jeszcze

w roku 1869, czyli w epoce zupełnej świadomości, zapisał siostrze.

Pana Tomasza proszono o zbadanie: kiedy naprawdę X. był waryatem? a następnie: o pogodzenie trzech poważnionych stron, z których żadna nie chciała słuchać o ustępstwach.

Gdy tak mecenas nurzał się w powikłanych kombinacjach, zdarzył się dziwny, trudny do pojęcia wypadek.

Na podwórzu, pod samem oknem pana Tomasza, odezwiała się — katarynka!...

Gdyby zmarły X. wstał z grobu, odzyskał przytomność i wszedł do gabinetu, aby pomódz mecenasowi w rozwiązywaniu trudnych zagadnień, z pewnością pan Tomasz nie doznałby takiego uczucia, jak teraz, gdy usłyszał katarynkę!...

I żeby to przynajmniej była katarynka włoska, z przyjemnymi tonami fletowymi, dobrze zbudowana, grająca ładne kawałki! Gdzie tam! jakby na większą szykanę, katarynka była popsuta, grała fałszywie ordynaryjne walce i polki, a tak głośno, że szyby drżały. Na domiar złego, trąba, niekiedy się w niej odzywająca, ryczała, jak wściekle zwierzę.

Wrażenie było potężne. Mecenas osłupiał. Nie wiedział, co myśleć i co począć. Chwilami gotów był przypuścić, że przy odczytywaniu pośmiertnych rozporządzeń chorego na umyśle obywatela X. jemu samemu pomieszało się w głowie i że uległ halucynacyom.

Ale nie, to nie były halucynacye. To była rzeczywista katarynka, z popsutemi piszczalkami i bardzo głośną trąbą!

W sercu mecenasa, tego wyrozumiałego, tego łagodnego człowieka, zbudziły się dzikie instynkty. Uczuł żal do natury, że go nie stworzyła królem dahomejskim, który ma prawo zabijać swoich poddanych, i pomyślał, z jaką rozkoszą położyłby w tej chwili kataryniarza trupem!

A ponieważ u ludzi tego temperamentu, co pan Tomasz, bardzo łatwo w gniewnem uniesieniu przechodzi się od zuchwałych projektów do najstraszniejszych czynów, więc mecenas skoczył, jak tygrys, do okna i postanowił — zwymyślać kataryniarza najgorszymi wyrazami.

Już wychylił się i otworzył usta, aby krzyknąć: »Ty, próżniaku jakiś!«... — gdy wtem usłyszał dziecięcy głos.

Spojrzał naprzeciwko.

Mała niewidoma dziewczynka łańczyła po pokoji, klaszcząc w ręce. Błada jej twarz zarumieniła się, usta śmiały się, a pomimo to z zastygłych oczu płynęły łzy, jak grad.

Ona, biedactwo, w tym domu spokojnym dawno już nie doświadczyła tylu wrażeń! Jak pięknem zjawiskiem wydawały się jej fałszywe tony katarynki! Jak wspaniałym był ryk trąby, która mecenasa mało nie przyprawiła o apopleksję!

Na dobitkę, kataryniarz, widząc uciechę dziecka, zaczął przytupywać wielkim obcasem w bruk, i pogwizdywać, niby lokomotywa przed spotkaniem się pociągów.

... Boże! jak on ślicznie gwizdał!

Do gabinetu mecenasa wpadł wierny lokaj, ciągnąc za sobą stróża i wołając:

— Ja mówiłem temu gałganowi, jaśnie panie, żeby natychmiast wygnał kataryniarza! Mówiłem, że od jaśnie pana dostanie pensję, że my mamy kontrakt.... Ale ten cham! Tydzień temu przyjechał ze wsi i nie zna naszych obyczajów. No, teraz posłuchaj — krzyczał lokaj, targając za ramię oszłomionego stróża — posłuchaj, co ci sam jaśnie pan mecenas powie!

Kataryniarz grał już trzecią sztuczkę, tak fałszywie i wrzaskliwie, jak dwie pierwsze.

Niewidoma dziewczynka była upojona.

Mecenas odwrócił się do stróża i rzekł ze zwykłą sobie flegmą, choć był trochę blady:

— Słuchaj-no, kochanku.... A jak ci na imię?

— Paweł, jaśnie panie.

-- Otóż, mój Pawle, będę ci płacił dziesięć złotych na miesiąc, ale wiesz, za co?

— Za to, ażebyś na podwórze nigdy nie puszczał katarynek! — wtrącił śpiesznie lokaj.

— Nie! — rzekł pan Tomasz. — Za to, ażebyś przez jakiś czas codzień puszczał katarynki. Rozumiesz?

Co pan mówi!?... — zawołał służący, którego nagle rozzuchwalił ten niepojęty rozkaz.

— Ażeby, dopóki się z nim nie rozmówię, puszczał codzień katarynki na podwórze — powtórzył mecenas, wsadzając ręce w kieszenie.

— Nie rozumiem pana!... -- odezwał się służący z oznakami obrażającego zdziwienia.

— Głupiś, mój kochany! — rzekł mu dobrotliwie pan Tomasz.

— No, idźcie do roboty -- dodał.

Lokaj i stróż wyszli, a mecenas spostrzegł, że jego wierny sługa coś towarzyszowi swemu szepcze do ucha i pokazuje palcem na czoło....

Pan Tomasz uśmiechnął się i, jakby dla stwierdzenia ponurych domysłów famulusa, wyrzucił katarynce dziesiątkę.

Następnie wziął kalendarz, wyszukał w nim listę lekarzy i zapisał na kartce adresy kilku okulistów. A że katarzyniarz odwrócił się teraz do jego okna i za jego dziesiątkę począł przytupywać i wygwizdywać jeszcze głośniejsze, co już okrutnie drażniło mecenasa, więc, zabrawszy kartkę z adresami daktorów, wyszedł, mruczając:

— Biedne dziecko!... Powinienem był zająć się niem oddawna....



JANKO MUZYKANT.

Przyszło to na świat wątłe, słabe. Kumy, co się były zebrały przy tapczanie położnicy, kręciły głowami i nad matką i nad dzieckiem. Kowalka Szymonowa, która była najmądrzejszą, poczęła chorą pocieszać:

— Dajta — powiada — to zapalę nad wami gromnicę, już z was nic nie będzie, moja kumo; już wam na tamten świat się wybierać i po dobrodziejaby posłać, żeby wam grzechy wasze odpuścił.

— Ba! — powiada druga — a chłopaka to zara trza ochrzcić; on i dobrodzieja nie doczeka, a. powiada, błogo będzie, co choć i strzygą się nie ostanie.

Tak mówiąc, zapaliła gromnicę, a potem, wzięwszy dziecko, pokropiła je wodą, aż poczęło oczki mrugać, i rzekła jeszcze:

— Ja ciebie »krzczę« w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego i daję ci przyzwoisko Jan, a teraz-że duszo »krześcijańska« idź, skądeś przyszła. Amen.

Ale dusza chrześcijańska nie miała wcale ochoty iść, skąd przyszła, i opuszczać chuderławego ciała, owszem pęczęła wierzgać nogami tego ciała, jak mogła, i płakać, chociaż tak słabo i żałośnie, że, jak mówiły kumy: »Myslałby kto: kocię, nie kocię, albo co!«

Posłano po księdza, przyjechał, zrobił swoje, odjechał: chorąj zrobiło się lepiej. W tydzień wyszła baba do roboty. Chłopak ledwie »zipał«, ale zipał; aż w czwartym roku okukała kukułka na wiosnę chorobę, więc się poprawił i w jakimś takim zdrowiu doszedł do dziesiątego roku życia.

Chudy był zawsze i opalony, z brzuchem wydętym, a zapadłymi policzkami; czuprynę miał konopną, białą prawie i spadającą na jasne wytrzeszczone oczy, patrzące w świat takby w jakąś niezmierną dalekość wpatrzone. W zimie siadywał za piecem i poplakiwał cicho z zimna, a czasem i z głodu, gdy matula nie miała co włożyć ani do pieca, ani do garnka; latem chodził w koszulinie, przepasanej krajką, i w słomianym »kapalusie«, z pod którego obdariej kani spoglądał, zadzierając, jak ptak, głowę do góry. Matka, biedna kemornica, żyjąca z dnia na dzień, niby jaskółka pod cudzą sirzechą, może go tam i kochała po swojemu, ale była dość często i zwykle nazywała »odmieńcem«. W ósmym roku chodził już jako potrzódka za bydłem, lub, gdy w chałupie nie było co jeść, za bedłkami do boru. Że go tam kiedy wilk nie zjadł, zmiłowanie Boże.

Był to chłopak nierozgarnięty bardzo i, jak wiejskie dzieciaki, przy rozmowie z ludźmi palec

do gęby wkładający. Nie obiecywali sobie nawet ludzie, że się wychowa, a jeszcze mniej, żeby matka mogła doczekać się z niego pociechy, bo i do roboty był ladaco. Niewiadomo skąd się to takie uległo, ale na jedną rzecz był tylko łapczywy, to jest na granie. Wszędzie też je słyszał, a jak tylko trochę podrośł, tak już o niczem innem nie myślał. Pójdzie bywało do boru za bydłem albo z dwójkami na jagody, to się wróci bez jagód i mówi, szepleniąc:

— Matulu! tak ci coś w boru »grłalo!« Oj! oj!

A matka na to:

— Zagram ci ja, zagram! nie bój się!

Jakoż czasem sprawiała mu warząchwią muzykę. Chłopak krzyczał, obiecywał, że już nie będzie, a taki myślał, że tam coś w boru grało... Co? albo on wiedział?... Sosny, buki, brzezina, wilgi, wszystko grało: cały bór i basta!

Echo też... W polu grała mu bylica, w sadku pod chałupą ćwirkotały wróble, aż się wiśnie trzęsły! Wieczorami słuchiwał wszystkich głosów, jakie są na wsi, i pewno myślał sobie, że cała wieś gra. Jak posłali go do roboty, żeby gnój rozrzucał, to mu nawet wiatr grał w widłach.

Zobaczył go tak raz karbowy, stojącego z rozrzuconą czupryną i słuchającego wiatru w drewnianych widłach... zobaczył i, odpasawszy rzemyka, dał mu dobrą pamiętkę. Ale na co to się zdało! Nazywali go ludzie »Janko muzykant!«... Wiosną uciekał z domu, kręcić fujarki wedle strugi. Nocami, gdy żaby zaczynały rzechotać, derkacze na łąkach derkotać, bąki po rosie burczeć; gdy ko-

guty piałły po zapłociach, to on spać nie mógł, tylko słuchał, i Bóg go jeden wie, jakie on i w tem nawet słyszał granie... Do kościoła matka nie mogła go brać, bo jak, bywało, zahuczą organy lub zaśpiewają słodkim głosem, to dziecku oczy tak mgłą zachodzą, jaby już nie z tego świata patrzyły...

Stójka, co chodził nocą po wsi i, aby nie zasnąć, liczył gwiazdy na niebie, lub rozmawiał pociachu z psami, widział nieraz białą koszulę Janka, przemykającą się w ciemności ku karczmie. Ale przecież chłopak nie do karczmy chodził, tylko przed karczmę. Tam przyczaiwszy się pod murem, słuchał. Ludzie tańcowali obertasa, czasem jaki parobek pokrzykiwał: »U-ha!« Słysząc było tupanie butów, to znów głosy dziewczyn: »Czegóż?« Skrzypki śpiewały: »Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili«, a basetla grubym głosem wtórowała z powagą: »Jak Bóg dał jak Bóg dał!« Okna jarzyły się światłem, a każda belka w karczmie zdawała się drgać, śpiewać i grać także, a Janko słuchał...

Coby on za to dał, gdyby mógł mieć takie skrzypki, grające cienko: »Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili!« Takie deszczułki śpiewające! Ba, ale skąd je dostać? gdzie takie robią? Żeby mu przynajmniej pozwolili choć raz w rękę wziąć coś takiego!... Gdzie tam! Wolno mu tylko było słuchać, to też i słuchał zwykle dopóty, dopóki głos stójki nie ozwał się za nim w ciemności:

— Nie pójdziesz-że ty do domu, utrapieńcze?

Więc wówczas zmykał na swych bosych nogach do domu; a za nim biegł w ciemnościach głos

skrzypiec: »Będziem jedli, będziem pili, będziewa się weselili« i poważny głos basetli: »Jak Bóg dał! Jak Bóg dał! Jak Bóg dał!«

Gdy tylko mógł usłyszeć skrzypki, czy to na dożynkach, czy na weselu jakim, to już dla niego było wielkie święto. Wlazł potem za piec i nie nie mówił po całych dniach, spoglądając, jak kot, błyszczącemi oczyma z ciemności. Potem zrobił sam sobie skrzypki z gonta i włosienia końskiego, ale nie chciały grać tak pięknie, jak tamte w karczmie: brzęczały cicho, bardzo cichutko, właśnie jak myszki jakie, albo komary. Grał jednak na nich od rana do wieczora, choć tyle za to odbierał szturchańców, że wkońcu wyglądał, jak obite jabłko niedojrzałe. Ale taka to już była jego natura. Dziecina chudł coraz bardziej, brzuch tylko zawsze miał duży, czuprynę coraz gęstszą i oczy coraz szerzej otwarte, choć najczęściej łzami zalane, ale policzki i piersi wpadały mu coraz głębiej i głębiej...

Wcale nie był jak inne dzieci; był raczej jak jego skrzypki z gonta, które zaledwie brzęczały. Na przednówku przytem przymierał głodem, bo żył najczęściej surową marchwią i także chęcią posiadania skrzypek.

Ale ta chęć nie wyszła mu na dobre.

We dworze miał skrzypce lokaj i grywał czasem na nich szarą godziną, aby się podobać paniem służącej. Janko czasem podczołgiwał się między łopuchami aż pod otwarte drzwi kredensu, żeby im się przypatrzeć. Wisiały właśnie na ścianie naprzeciw drzwi. Więc tam chłopak duszę swoją całą wysłał ku nim przez oczy, bo mu się zdawało,

że to niedostępna jakaś dla niego świętość, której niegodzien tknąć, że to jakieś jego najdroższe ukochanie. A jednak pożył ich. Chciałby przynajmniej raz mieć je w ręku, przynajmniej przypatrzeć się im bliżej... Biedne małe chłopskie serce drżało na tę myśl ze szczęścia.

Pewnej nocy nikogo nie było w kredensie. Państwo oddawna siedzieli zagranicą, dom stał pustkami, więc lokaj przesiadywał na drugiej stronie u panny pokojowej. Janko, przyczajony w łopuchach, patrzył już oddawna przez otwarte szerokie drzwi na cel wszystkich swych pożądań. Księżyc właśnie na niebie był pełny i wschodził ukośnie przez okno do kredensu, odbijając je w kształcie wielkiego jasnego kwadratu na przeciwległej ścianie. Ale ten kwadrat zbliżał się powoli do skrzypiec i wkońcu oświetlił je zupełnie. Wówczas w ciemnej głębi wydawało się, jakby od nich biła światłość srebrna; szczególnie wypukłe zgięcia oświecone były tak mocno, że Janek ledwie mógł patrzeć na nie. W onym blasku widać było wszystko doskonale: wcięte boki, struny i zagiętą rączkę. Kółeczki przy niej świeciły, jak robaczki świętojańskie, a wzdłuż zwieszał się smyczek, nakształt srebrnego pręta...

Ach! wszystko było śliczne i prawie czarodziejskie; Janek też patrzył coraz chętniej. Przykucnięty w łopuchach, z łokciami opartymi o chude kolana, z otwartymi ustami, patrzył i patrzył. To strach zatrzymywał go na miejscu, to jakaś nieprzewyciężona chęć pchała go naprzód. Czy czary jakie, czy co?... Ale to skrzypce w jasności czarom

zdawały się przybliżać, jakoby płynąć ku dziecku... Chwilami przygasały, aby znowu rozpromienić się jeszcze bardziej. Czary, wyraźnie czary! Tymczasem wiatr powiał; zaszumiały cicho drzewa, załotały łopuchy, a Janek jakoby wyraźnie usłyszał;

— Idź, Janku! w kredensie niema nikogo... idź, Janku!...

Noc była widna, jasna. W ogrodzie dworskim nad stawem słowik zaczął śpiewać i pogwizdywać cicho, to głośniej: »Idź! pójdz! weź!« Lelek pocziwy cichym lotem zakręcił się koło głowy dziecka i zawołał: »Janku, nie! nie!« Ale lelek odleciał, a słowik został, i łopuchy coraz wyraźniej mruczały: »Tam niema nikogo!« Skrzypce rozpromieniły się znowu...

Biedny, mały, skulony kształt zwołna i ostrożnie posunął się naprzód, a tymczasem słowik cichuteńko pogwizdywał: »Idź! pójdz! weź!«

Biała koszula migotała coraz bliżej drzwi kredensowych. Już nie okrywają jej czarne łopuchy. Na progu kredensowym słychać szybki oddech chorych piersi dziecka. Chwila jeszcze, biała koszulka znikła, już tylko jedna bosa nóżka wystaje za progiem. Napróżno, lalku, przelatujesz jeszcze raz i wołasz: »Nie! nie!« — Janek już w kredensie.

Zarzechotały zaraz ogromnie żaby w stawie ogrodowym, jakgdyby przestraszone, ale potem ucichły. Słowik przestał pogwizdywać, łopuchy szemrać. Tymczasem Janek czołgał się cicho i ostrożnie, ale zaraz go strach ogarnął. W łopuchach czuł się jakby u siebie, jak dzikie zwierzątko w zarosłach, a teraz był, jak dzikie zwierzątko w pułapce.

Ruchy jego stały się nagle, oddech krótki i świszczący, przytem ogarnęła go ciemność. Cicha letnia błyskawica, przeleciawszy między wschodem i zachodem, oświeciła raz jeszcze wewnątrz kredensu i Janka na czworakach przed skrzypcami z głową zadartą do góry. Ale błyskawica zgasła, księżyc przysłoniła chmurka, i nie już nie było widać ani słyszać.

Po chwili dopiero z ciemności wyszedł dźwięk cichutki i płaczliwy, jakby ktoś nieostrożnie strun dotknął — i nagle...

Gruby jakiś, zaspany głos, wychodzący z kąta kredensu, spytał gniewliwie:

— Kto tam?

Janek zataił dech w piersiach, ale gruby głos spytał powtórnie:

— Kto tam?

Zapałka zaczęła migotać po ścianie, zrobiło się widno, a potem... Eh! Boże! Słyszać klątwy, uderzenia, płacz dziecka, wołanie: »O! dla Bogaszczenie psów, bieganie świateł po szybach, hałas w całym dworze...

Na drugi dzień biedny Janek stał już przed sądem u wójta.

Mieliż go tam sądzić, jako złodzieja?... Pewno. Popatrzyli na niego wójt i ławnicy, jak stał przed nimi z palcem w gębie, z wytrzeszczonemi zalepkami oczyma, mały, chudy, zamorusany, obity, nie wiedzący, gdzie jest i czego od niego chcą... Jakże tu sądzić taką biedę, co ma lat dziesięć i ledwo na nogach stoi? Do więzienia ją posłać, czy jak?... Trzebaż przytem mieć trochę miłosierdzia nad

dziećmi. Niech go tam weźmie stójka, niech mu da różgą, żeby na drugi raz nie kradł, i cała rzecz.

— Bo pewno!

Zawołali Stacha, co był stójką:

— Weź go ta i daj mu na pamiątkę.

Stach kiwnął swoją głupowatą, zwierzęcą głową, wziął Janka pod pachę, jakby jakiego kociaka, i wyniósł ku stodółce. Dziecko, czy nie rozumiało, o co chodzi, czy się zalekło, dość, że nie ozwało się ni słowem, patrzyło tylko, jakby patrzył ptak. Albo on wie, co z nim robią? Dopiero jak go Stach w stodole wziął garścią, rozciągnął na ziemi i, podgiąwszy koszulinę, machnął od ucha, dopiero Janek krzyknął:

— Matulu! — i co go stójka różgą, to on: — »Matulu! matulu!« — ale coraz ciszej, słabiej, aż za którymś razem ucichło dziecko i nie wołało już matuli...

Biedne potrzaskane skrzypki!...

— Ej, głupi, zły Stachu! któż tak dzieci bije? Toż to małe i słabe i zawsze było ledwie żywe.

Przyszła matka, zabrała chłopaka, ale musiała go zanieść do domu... Na drugi dzień nie wstał Janek, a trzeciego wieczorem konał już sobie spokojnie na tapczanie pod zgrzebnym kilimkiem.

Jaskółki świegotały w czereśni, co rosła pod przyźbą; promień słońca wschodził przez szybę i oblewał jasnością złotą, rozczochną główkę dziecka i twarz, w której nie zostało kropli krwi. Ów promień był niby gościńcem, po którym mała dusza chłopczyka miała odejść. Dobrze, że choć w chwilę śmierci odchodziła szeroką słoneczną

drogą, bo za życia szła prawdziwie ciernistą. Tymczasem wychudłe piersi poruszyły się jeszcze oddechem, a twarz dziecka była jakby zasluchana w te odgłosy wiejskie, które wchodziły przez otwarte okno. Był to wieczór, więc dziewczęta, wracające od siana, śpiewały: »Oj, na zielonej, na runi!« a od strugi dochodziło granie fujarek. Janek wsłuchiwał się ostatni raz, jak wieś gra... Na kilimku przy nim leżały jego skrzypki z gonta.

Nagle twarz umierającego dziecka rozjaśniła się, a z bielejących warg wyszedł szept:

— Matulu?...

— Co, synku? — ozwała się matka, którą dusiły łzy.

— Matulu! Pan Bóg mi da w niebie prawdziwe skrzypki?

— Da ci, synku, da! — odrzekła matka; ale nie mogła mówić, bo nagle z jej twardej piersi buchnęła wzbierająca żalność, więc jęknąwszy tylko: »O Jezul Jezul« — padła twarzą na skrzynię i zaczęła ryczeć, jakby straciła rozum, albo jak człowiek, co widzi, że od śmierci nie wydrze swego kochania.

Jakoż nie wydarła go, bo gdy, podniósłszy się, spojrzała znowu na dziecko, oczy małego grajka były otwarte wprawdzie, ale nieruchome, twarz zaś poważna bardzo, mroczna i stężała. Promień słoneczny odszedł także...

— Pokój ci, Janku!

Nazajutrz powrócili państwo do dworu z Włoch, wraz z panną i kawalerem, co się o nią starał. Kawaler mówił:

— *Quel beau pays que l'Italie!* *)

— I co to za lud artystów! *On est heureux de chercher la-ù des talents et de les protéger...* **)

Nad Jankiem szumiały brzozy...

*) Jak pięknym krajem są Włochy (franc.).

**) Szczęściem jest znajdować tam talenty i popierać je (franc.).

LATARNIK *).



I.

Pewnego razu zdarzyło się, że latarnik w Aspinwall, niedaleko Panamy, przepadł bez wieści. Ponieważ stało się to wśród burzy, przypuszczano, że nieszczęśliwy musiał podejść nad sam brzeg skalistej wysepki, na której stoi latarnia, i został splukany przez bałwan. Przypuszczenie to było tem prawdopodobniejsze, że na drugi dzień nie znaleziono jego łódki, stojącej w skalistym wrębie. Zawakowało tedy miejsce latarnika, które trzeba było jak najprędziej obsadzić, ponieważ latarnia niemałe ma znaczenie tak dla ruchu miejscowego, jak i dla okrętów, idących z Now-Yorku do Panamy. Zatoka Moskitów obfituje w piaszczyste ławice i zasy, między którymi droga nawet w dzień jest trudna, w nocy zaś, zwłaszcza wśród mgieł, podnoszących się często na tych ogrzewanych podzwrotnikowem

*) Opowiadanie to osnute jest na wypadku rzeczywistym, o którym w swoim czasie pisał J. Ilorain w jednej ze swoich korespondencyi z Ameryki.

słońcem wodach, prawie niepodobna. Jedynym wówczas przewodnikiem dla licznych statków bywa światło latarni. Kłopot wynalezienia nowego latarnika spadł na konsula Stanów Zjednoczonych, rezydującego w Panamie, a był to kłopot niemały, raz z tego powodu, że następcę trzeba było znaleźć koniecznie w ciągu dwunastu godzin; powtórę, następca musiał być nadzwyczaj sumiennym człowiekiem, nie można więc było przyjmować byle kogo; наконец wogóle kandydatów na posadę brakło. Życie na wieży jest nadzwyczaj trudne i bynajmniej nie usmiccha się rozpróżnionym i lubiącym swobodną włóczęgę ludziom Południa. Latarnik jest niemal więźniem. Z wyjątkiem niedzieli nie może on wcale opuszczać swej skalistej wysepki. Łódź z Aspinwall przynosi mu raz na dzień zapasy żywności i świeżą wodę, poczem przywożący oddalają się natychmiast, na całej zaś wysepce, mającej morzę rozległości, niema nikogo. Latarnik mieszka w latarni, utrzymuje ją w porządku; w dzień daje znaki wywieszaniem różnokolorowych flag, wedle wskazówek barometru, w wieczór zaś zapala światło. Nie byłaby to wielka robota, gdyby nie to, że, chcąc się dostać z dołu do ognisk na szczyt wieży, trzeba przejść przeszło czterysta schodów krętych i nader wysokich, latarnik zaś musi odbywać tę podróż czasem i kilka razy dziennie. Wogóle jest to życie klasztorne, a nawet więcej, bo pustelnicze. Nic też dziwnego, że Mr. Izaak Falkenbridge był w niemałym kłopotcie, gdzie znajdzie stałego następcę po nieboszczyku, i łatwo zrozumieć jego radość, gdy najniespodziewaniej następca zgłosił się jeszcze

tegoż samego dnia. Był to człowiek już stary, lat siedmiudziesiąt albo i więcej, ale czerstwy, wyprostowany, mający ruchy i postawę żołnierza. Włosy miał zupełnie białe, pleć spaloną, jak u kreolów, ale sądząc z niebieskich oczu, nie należał do ludzi Południa. Twarz jego była przygnębiona i smutna, ale uczciwa. Na pierwszy rzut oka podobał się Falconbridge'owi. Pozostało go tylko wyegzaminować, wskutek czego wywiązała się następująca rozmowa:

— Skąd jesteście?

— Jestem Polak.

— Coście robili dotąd?

— Tułałem się.

— Latarnik powinien lubić siedzieć na miejscu.

— Potrzebuję odpoczynku.

— Czy służyliście kiedy? Czy macie świadectwa uczciwej służby rządowej?

Stary człowiek wyciągnął z zanadrza spłowiały jedwabny szmat, podobny do strzępu starej chorągwi, rozwinął go i rzekł:

— Oto są świadectwa. Ten krzyż dostałem w roku trzydziestym. Ten drugi jest hiszpański z wojny karlistowskiej; ten trzeci to legia francuska; czwarty otrzymałem na Węgrzech. Potem biłem się w Stanach przeciw południowcom, ale tam nie dają krzyżów — więc oto papier.

Falconbridge wziął papier i zaczął czytać.

— Hm! Skawiński? To jest wasze nazwisko?... Hm!... Dwie chorągwie, zdobyte własnoręcznie w ataku na bagnety... Byliście walecznym żołnierzem!

— Potrafię być i sumiennym latarnikiem.

— Trzeba tam codziennie wchodzić po kilka razy na wieżę. Czy nogi macie zdrowe?

— Przeszedłem piechotą *pleny*.

(Plenami nazywają niezmierne stępy między New-Yorkiem a Kalifornią).

— *All right!**) Czy jesteście obeznani ze służbą morską?

— Trzy lata służyłem na wielorybniku.

— Próbowaliście różnych zawodów?

— Nie zaznałem tylko spokojności.

— Dlaczego?

Stary człowiek wzruszył ramionami.

— Taki los...

— Wszelako na latarnika wydajecie mi się za starzy?

— *Sir!**)* — ozwał się nagle kandydat wzruszonym głosem. — Jestem bardzo znużony i skołatany. Dużo, widzicie, przeszedłem. Miejsce to jest jedno z takich, jakie najgoręcej pragnąłem otrzymać. Jestem stary, potrzebuję spokoju! Potrzebuję sobie powiedzieć: tu już będziesz siedział, to jest twój port. Ach, *Sir!* to od was tylko zależy. Drugi raz się może taka posada nie zdarzy. Co za szczęście, że byłem w Panamie... Błagam was... Jak mi Bóg miły, jestem jak statek, który jeśli nie wejdzie do portu, to zatonie... Jeśli chcecie uszczęśliwić człowieka starego... Przysięgam, że jestem uczciwy, ale... dość już mam tego tułactwa...

Niebieskie oczy starca wyrażały tak głęboką prośbę, że Falconbridge, który miał dobre, proste serce, czuł się wzruszony.

*) Wszystko w porządku (ang.). **) panie! (ang.).

— *Well!**) — rzekł. — Przyjmuje was. Jesteście latarnikiem.

Twarz starego zajaśniała niewypowiedzianą radością.

— Dziękuję.

— Czy możecie dziś jechać na wieżę?

— Tak jest.

— Zatem *good bye!*...**) Jeszcze słowo: za każde uchybienie w służbie dostaniecie dymisyę.

— *All right!*

Tegoż samego jeszcze wieczora, gdy słońce stoczyło się na drugą stronę międzymorza, a po dniu promiennym nastąpiła noc bez zmierzchu, nowy latarnik był już widocznie na miejscu, bo latarnia rzuciła, jak zwykle, na wody swoje snopy jaskrawego światła. Noc była zupełnie spokojna, cicha, prawdziwie podzwrotnikowa, przesycona jasną mgłą, tworzącą koło księżyca wielki, zabarwiony tęczowo krąg o miękkich, nieujętych brzegach. Morze tylko burzyło się, ponieważ przyływ wzbierał. Skawiński stał na balkonie, tuż koło olbrzymich ognisk, podobny z dołu do czarnego małego punkciku. Próbował zebrać myśl i objąć swe nowe położenie. Ale myśl jego była nadto pod naciskiem, by mogła snuć się prawidłowo. Czuł on coś takiego, co czuje szczuty zwierz, gdy wreszcie schroni się przed pogonią na jakiejś niedostępnej skale lub w pieczarze. Nadszedł nareszcie dla niego czas spokoju. Poczucie bezpieczeństwa napędziało jakąś niewysłowioną rozkoszą jego duszę. Oto mógł na tej skale poprostu uragać dawnemu tula-

*) dobrze (ang.). **) do widzenia (ang.).

ctwu, dawnym nieszczęściom i niepowodzeniom. Był on naprawdę, jak okręt, któremu burza łamała maszty, rwała liny, żagle, którym rzuciła od chmur na dno morza, w który biła falą, pluła pianą — a który jednak zawinął do portu. Obrazy tej burzy przesuwają się teraz szybko w jego myśli w przeciwstawieniu do cichej przyszłości, jaka miała się rozpocząć. Część swych dziwnych kolei opowiadał sam Falconbridge'owi, nie wspominał jednak o tysiącnych innych przygodach. Miał on nieszczęście, że, ilekroć rozbił gdzie namiot i rozniecił ognisko, by się osiedlić stałe, jakiś wiatr wyrwał kołki namiotu, rozwiewał ognisko, a jego samego niósł na stracenie. Spoglądając teraz z wieżowego balkonu na oświecone fale, wspominał o wszystkim, co przeszedł. Oto bił się w czterech częściach świata — i na tulańcu próbował wszystkich niemal zawodów. Pracowity i uczciwy, nieraz dorabiał się grosza i zawsze tracił go wbrew wszelkim przewidywaniom i największej ostrożności. Był kopaczem złota w Australii, poszukiwaczem dyamentów w Afryce, strzelcem rządowym w Indiach Wschodnich. Gdy w swoim czasie założył w Kalifornii fermę, zgubiła go susza; próbował handlu z dzikimi plemionami, zamieszkującymi wewnątrz Brazylii; tratwa jego rozbiła się na Amazonce, on sam zaś bezbronny i prawie nagi tułał się po lasach przez kilka tygodni, żywiąc się dzikim owocem, narażony co chwila na śmierć w paszczy drapieżnych zwierząt. Założył warsztat kowalski w Helenie, w Arkanzas i — spalił się w wielkim pożarze całego miasta. Następnie w Górach

Skalistych dostał się w ręce Indyan i cudem tylko został wybawiony przez kanadyjskich strzelców. Służył jako majtek na statku, karsującym między Bahią i Bordeaux, potem jako harpunnik na wielorybniku: oba statki rozbiły się. Miał fabrykę cygar w Hawannie i — został okradziony przez współnika w chwili, gdy sam leżał chory na »vomitó«. Wreszcie przybył do Aspiwnall — i tu miał być kres jego niepowodzeń. Cóż go bowiem mogło doścignąć jeszcze na tej skalistej wysepce? Ani woda, ani ogień, ani ludzie. Zresztą od ludzi Skawiński niewiele doznał złego. Częściej spotykał dobrych, niż złych.

Zdawało się natomiast, że prześladowają go wszystkie cztery żywioły. Ci, co go znali, mówili, że nie ma szczęścia, i tem objaśniali wszystko. On sam wreszcie stał się trochę maniakiem. Wierzył, że jakaś potężna a mściwa ręka ściga go wszędzie, po wszystkich lądach i wodach. Nie lubił jednak o tem mówić; czasem tylko, gdy go pytano, czyja to miała być ręka, ukazywał tajemniczo na gwiazdę polarną i odpowiedział, że to idzie stamtąd. Rzeczywiście, niepowodzenia jego były tak stałe, że aż dziwne i łatwo mogły zabić gwóźdź w głowie, zwłaszcza temu, kto ich doznawał. Zresztą miał cierpliwość Indyanina i wielką spokojną siłę oporu, jaka płynie z prawości serca. W swoim czasie na Węgrzech dostał kilkanaście pchnięć bagnietem, bo nie chciał chwycić za strzemię, które ukazywano mu, jako środek ratunku, i krzyczeć: pardon. Tak samo nie poddawał się i w nieszczęściu. Laził pod górę tak pracowicie, jak mrówka. Zepchnięty sto-

razy, rozpoczynał spokojnie swoją podróż po raz setny pierwszy. Był to w swoim rodzaju szczególniejszy dziwak. Stary ten żołnierz, opalony Bóg wie w jakich ogniach, zahartowany w biedach, bity i kuty, miał serce dziecka. W czasie epidemii na Kubie zapadł na nią dlatego, że oddał chorym wszystką swoją chininę, której miał znaczny zapas, nie zostawiając sobie ani grama.

Było w nim jeszcze i to dziwnego, że po tylu zawodach zawsze był pełen ufności i nie tracił nadziei, iż jeszcze wszystko będzie dobrze. W zimie ożywiał się zawsze i przepowiadał jakieś wielkie wypadki. Czekał ich niecierpliwie i myślą o nich żył lata całe... Ale zimy mijały jedne za drugimi, i Skawiński doczekał się tylko tego, że ubielili mu głowę. Wreszcie zestarzał się — począł tracić energię. Cierpliwość jego poczyniała być coraz podobniejszą do rezygnacyi. Dawny spokój zmienił się w skłonność do roztkliwiania się, i ten hartowny żołnierz jął przeradzać się w bekse, gotowego załzawić się z lada powodu. Prócz tego od czasu do czasu tłukła go najstraszliwsza nostalgia, którą podniecała lada okoliczność; widok jaskółek, szarych ptaków podobnych do wróbli, śniegi na górach lub zasłyszana jakaś nuta, podobna do słyszanej niegdyś... Nakoniec opanowała go tylko jedna myśl: myśl odpoczynku. Owładnęła ona starcem zupełnie i wchłonęła w siebie wszelkie inne pragnienia i nadzieje. Wieczny tulacz nie mógł już sobie wymarzyć nic bardziej upragnionego, nic droższego nad jaki spokojny kąt, w którymby mógł odpocząć i czekać cicho kresu. Może właśnie dla-

tego, że szczególnie jakieś dziwactwo losu rzucało nim po wszystkich morzach i krajach tak, że prawie nie mógł tchu złapać, wyobrażał sobie, że największem ludzkim szczęściem jest — tylko nie tułać się. Co prawda, to i należało mu się takie skromne szczęście, ale tak już był zwyczajny zawodów, że myślał o tem, jak wogóle ludzie marzą o czemś niedoścignionem. Spodziewać się nie śmiał. Tymczasem, niespodzianie, w ciągu dwunastu godzin dostał posadę, jakby wybraną dla siebie ze wszystkich na świecie. Nic też dziwnego, że, gdy wieczorem zapalił swoją latarnię, był jakby odurzony, że pytał sam siebie, czy to prawda, i nie śmiał odpowiedzieć: tak. A tymczasem rzeczywistość przemawiała do niego nieprzepartymi dowodami; więc godziny jedna za drugą spływały mu na balkonie. Patrzył, nasyczał się, przekonywał. Mogłoby się zdawać, że pierwszy raz w życiu widział morze. Soczewka latarni rzucała w ciemność olbrzymi ostrokrąg światła, poza którym oko starca ginęło w dali czarnej zupełnie, tajemniczej i strasznej. Ale dał owa zdawała się biegnąć ku światłu. Długie wiorstowe fale wytaczały się z ciemności i, rycząc, szły aż do stóp wysepki, a wówczas wiść było spienione ich grzbiety, połyskujące różowo w świetle latarni. Przyływ wzmagał się coraz bardziej i zalewał piaszczyste ławice. Tajemnicza mowa oceanu dochodziła z pełni coraz potężniej i głośniej, podobna czasem do huku armat, to do szumu olbrzymich lasów, to do dalekiego, zmaconego gwaru głosów ludzkich. Chwilami cichło, potem o uszy starca odbijało się kilka wielkich westchnień,

potem jakieś łkania — i znów groźne wybuchy. Wreszcie wiatr zwiął mgłę, ale napędził czarnych, poszarpanych chmur, które przysłaniały księżyc. Z zachodu poczynano dać coraz mocniej. Bałwany skakały z wściekłością na urwisko latarni, oblizując już pianą i podmurowanie. W dali pomrukiwała burza. Na ciemnej, wzburzonej przestrzeni zabłysło kilka zielonych latarek, powieszanych na masztach okrętowych. Zielone owe punkciki to wznosiły się wysoko, to zapadały w dół, to chwiały się na prawo i na lewo. Skawiński zeszedł do swej izby. Burza poczęła wyć. Tam, na dworze, ludzie na owych okrętach walczyli z nocą, z ciemnością, z falą; w izbie zaś spokojnie było i cicho. Nawet odgłosy burzy słabo przedzierały się przez grube mury, i tylko miarowe tik-tak! zegara kołysało zatrudzonego starca jakby do snu.

II.

Zaczęły płynąć godziny, dni i tygodnie... Majtkowie twierdzą, że czasem, gdy morze bardzo jest rozhukane, woła coś na nich wśród nocy i ciemności po nazwisku. Jeżeli nieskończoność morska może tak wołać, to być może, że, gdy się człowiek zestarzeje, woła także na niego i inna nieskończoność, jeszcze ciemniejsza i bardziej tajemnicza, a im jest bardziej zmęczony życiem, tem milsze są mu te nawoływania. Ale by ich słuchać, trzeba ciszy. Prócz tego starość lubi się odosobniać, jakby w przeczuciu grobu. Latarnia była już dla Skawiń-

skiego takim pół-grobem. Nic jednostajniejszego, jak podobne życie na wieży. Młodzi ludzie, jeśli się na nie zgodzą, to po pewnym czasie opuszczają służbę. Latarnik też bywa zazwyczaj człowiekiem niemłodym, posępnym i zamkniętym w sobie. Gdy wypadkiem porzuci swoją latarnię i dostanie się między ludzi, chodzi wśród nich, jak człowiek zbudzony z głębokiego snu. Na wieży brak wszelkich drobnych wrażeń, które w zwykłym życiu uczą stosować wszystko do siebie. Wszystko, z czem styka się latarnik, jest olbrzymie i pozbawione zawartych, określonych kształtów. Niebo: to jest ogół, woda: to drugi, a wśród tych nieskończoności samotna dusza ludzka! Jest to życie, w którem myśl jest raczej ciąglem zadumaniem się, a z tego zadumania nie budzi latarnika nic, nawet jego zajęcia. Dzień do dnia staje się podobny, jak dwa paciorki w różańcu, i chyba zmiany pogody stanowią jedyną rozmaitość. Skawiński jednak czuł się tak szczęśliwym, jak nigdy w życiu nie był. Wstawał świstaniem, brał posiłek, czyścił soczewki latarni, a potem, siadłszy na balkonie, wpatrywał się w dal morską, i oczy jego nie mogły się nasycić nigdy obrazami, które przed sobą widział. Zwykle na olbrzymiem, turkusowem tle widać było stada wydętych żagli, świecących w promieniach słońca tak mocno, że aż oczy mrużyły się przed nadmiarem blasku; czasem statki, korzystając z wiatrów, które pasatami zowią, szły wyciągniętym szeregiem jedne za drugimi, podobne do łańcucha mew lub albatrosów. Czerwone beczki, wskazujące drogę, kołysały się na fali lekkim, łagodnym ruchem; między

żaglami pojawiał się co dnia w południe olbrzymi szarawy piórupusz dymu. To parowiec z New-Yorku wioził podróżnych i towary do Aspinvall, ciągnąc za sobą długi, spieniony szlak piany. Z drugiej strony balkonu widział Skawiński, jak na dłoni, Aspinwall i jego ruchliwy port, a w nim las masztów, łodzie i łódki; nieco zaś dalej białe domy i wieżyczki miasta. Z wysokości latarni domki były podobne do gniazd mew, łodzie do żuków, a ludzie poruszali się, jak małe punkciiki na białym, kamiennym bulwarku. Zrana lekki, wschodni powiew przynosił zmieszany gwar życia ludzkiego, nad którym górował świst parowców. W południe nadchodziła godzina siesty. Ruch w porcie ustawał; mewy kryły się w szczyrby skał, fale słabły i stawały się jakieś leniwe, a wówczas na lądzie, na morzu i na latarni nastawała chwila nieznanącej niczem ciszy. Żółte piaski, z których odpływały fale, lśniły nakształt złotych plam na obszarach wodnych; słup wieżowy odrzynał się twardo w błękie. Potoki promieni słonecznych lały się z nieba na wodę, na piaski i na urwiska. Wówczas i starca ogarniała jakaś niemoc pełna słodczy. Czuł, że ten odpoczynek, którego używa, jest wyborny, a gdy pomyślał, że będzie trwały, to mu już niczego nie brakło. Skawiński rozmarzał się własnem szczęściem, ale że człowiek łatwo oswaja się z lepszym losem, stopniowo nabierał wiary i ufności, myślał bowiem, że, jeśli ludzie budują domy dla inwalidów, to dla czegożby Bóg nie miał wreszcie przygarnąć swego inwalidy. Czas upływał i utrwał go w tem przekonaniu. Stary zżył się z wieżą, z la-

tarnia, z urwiskiem, z ławicami piasku i z samotnością. Poznał się także i z mewami, które niosły się w załamach skalnych, a wieczorem odprawiały wiece na dachu latarni. Skawiński rzucał im zwykle resztki swego jadła, tak zaś przyswoiły się wkrótce, że, gdy to czynił potem, to otaczała go prawdziwa burza białych skrzydeł, stary zaś chodził między ptactwem, jak pastuch między owcami. W czasie odpływu wyprawiał się na niskie, piaszczyste ławice, na których zbierał smaczne ślimaki i piękne perłowe konchy żeglarków, które odpływająca fala osadziła na piasku. W nocy, przy świetle księżyca i latarni chodził na ryby, któremi roiły się załamy skalne. W końcu pokochał swoją skałę i swoją bezbrzeżną wysepkę, porośniętą tylko drobnymi tłustymi roślinkami, sączącemi lipką żywicę. Ubóstwo wysepki wynagradzały mu zresztą dalsze widoki. W południowych godzinach, gdy atmosfera stawała się bardzo przezroczystą, widać było całe międzymorze, aż do Pacyfiku, pokryte najbujniejszą roślinnością. Skawińskiemu wydawało się wówczas, że widzi jeden olbrzymi ogród. Pęki kokosów i olbrzymich muz składały się jakby w przepyszne czubiaste bukiety, tuż zaraz za domami Aspinwallu. Dalej, między Aspinwall a Panamą widać było ogromny las, nad którym co rano i pod noc zwieszał się czerwonawy opar wyziewów — las, prawdziwie podzwrotnikowy, zalany u spodu stojącą wodą, oplątany lianami, szumiący jedną falą olbrzymich storczyków, palm, drzew mlecznych, żelaznych i gumowych.

Przez swą strażniczą lunetę stary mógł doj-

rzec nie tylko drzewa, nie tylko rozłożyste liście bananów, ale nawet gromady małp, wielkich marabutów i stada papug, wzbijające się czasem, jak tęczowa chmura nad lasem. Skawiński znał zbliżka podobne lasy, gdyż po rozbiciu się na Amazonce błąkał się całe tygodnie wśród podobnych sklepień i gąszczów. Widział, ile pod ich cudną, śmiejącą się powierzchnią ukrywa się niebezpieczeństw i śmierci. Wśród nocy, jakie w nich spędził, słyszał zbliżka grobowe głosy wyjców i ryki jaguarów, widział olbrzymie węże, kołyszące się nakszałt lianów na drzewach; znał owe sennie jeziora leśne, przepelnione dręt看ami i rojące się od krokodylów. Wiedział, pod jakim jarzmem żyje człowiek w tych niezgłębionych puszczach, w których pojedyncze liście przenoszą dziesięciokrotnie jego wielkość, w których roją się krwiożercze moskity, pijawki drzewne i olbrzymie jadowite pająki. Wszystkiego sam doznał, sam doświadczył, wszystko sam przecierpiał; to też tem większą teraz sprawiało mu rozkosz patrzeć z wysokości na owe *matos*, podziwiać ich pięknosć, a być zasłoniętym od zdrał. Jego wieża chroniła go przed wszelkiem złem. Opuszczał ją też tylko czasami w niedzielę zrana. Przywdziewał wtedy granatową kapotę strażniczą ze srebrnymi guzami, na piersiach zawieszał swoje krzyże, i jego mleczna głowa podnosiła się z pewną dumą, gdy słyszał przy wyjściu z kościoła, jak kreole mówili między sobą: »Porządnego mamy latarnika«. — »I nie heretyk, chociaż Yankee!« Wracał jednak natychmiast po mszy na wyspę i wracał szczegłliwy, bo zawsze jeszcze nie dowierzał

stałemu lądowi. W niedzielę także odczytywał sobie hiszpańską gazetę, którą zakupywał w mieście, lub newyorskiego »Heralda«, pożyczanego u Falconbridge'a — i szukał w nich skwapliwie wiadomości z Europy. Biedne stare serce na tej wieży strażniczej i na drugiej półkuli było jeszcze dla kraju... Czasem także, gdy łódź, przywożąca mu codziennie żywność i wodę, przybiła do wysepki, schodził z wieży na gawędę ze strażnikiem Johnsem. Potem jednak widocznie zdziaczał. Przestał bywać w mieście, czytywać gazety i schodzić na polityczne rozprawy Johnsa. Upływały całe tygodnie w ten sposób, że nikt jego nie widział, ani on nikogo. Jedynym znakiem, że stary żyje, było tylko znikanie żywności, pozostawianej na brzegu, i światło latarni, zapalane co wieczór z taką regularnością, z jaką słońce wstaje rankiem z wody w tamtych stronach. Widocznie stary zobojętniał dla świata. Powodem tego nie była nostalgia, ale właśnie to, że przeszła i ona nawet w rezygnację. Cały świat teraz zaczynał się dla starca i kończył się na jego wyspce. Żył się już z myślą, że nie opuści wieży do śmierci i poprostu zapomniał, że jest jeszcze coś poza nią. Przytem stał się mistykiem. Łagodne jego niebieskie oczy poczęły być, jak oczy dziecka, zapatrzone wiecznie i jakby utkwione w jakiejś dali. W ciągłym odosobnieniu i wobec otoczenia nadzwyczaj prostego a wielkiego, począł stary tracić poczucie własnej odrębności, przestawał istnieć, jakby osoba, a zlewał się coraz więcej z tem, co go otaczało. Nie rozumował nad tem, czuł tylko bezwiednie, ale wkońca zdawało

mu się, że niebo, woda, jego skała, wieża i złote ławice piasku i wydęte żagle i mewy, odpływy i przypływy, to jakaś wielka jedność i jedna ogromna tajemnicza dusza; on zaś sam pogrąża się w tej tajemnicy i czuje ową duszę, która żyje i koi się. Zatonął, ukołysał się, zapamiętał — i w tem ograniczeniu własnego odrębnego bytu, w tem pół-czuwaniu, pół-śnie znalazł spokój tak wielki, że prawie podobny do pół-śmierci.

III.

Ale nadeszło przebudzenie.

Pewnego razu, gdy łódź przywiozła wodę i zapasy żywności, Skawiński, zszedłszy w godzinę później z wieży, spostrzegł, że prócz zwykłego ładunku jest jeszcze jedna paczka więcej. Na wierzchu paczki były marki pocztowe Stanów Zjednoczonych i wyraźny adres »Skawiński Esq.« wypisany na grubem, żaglowem płótnie. Rozciekawiony starzec przeciął płótno i ujrzał książki: wziął jedną do ręki, spojrzał i położył napowrót, przyczem ręce poczęły mu drżeć mocno. Przysłonił oczy, jakby im nie wierząc, zdawało mu się, że śni — książka była polska. Co to miało znaczyć! ? Kto mu mógł przysłać książkę? W pierwszej chwili zapomniał widocznie, iż jeszcze na początku swej latarniczej kariery przeczytał pewnego razu w pożyczonym od konsula Heraldzie o zawiązaniu polskiego Towarzystwa w New-Yorku i że zaraz prze-

słał Towarzystwu połowę swej miesięcznej pensyi, z którą zresztą nie miał co robić na wieży. Towarzystwo, wywdzięczając się, przysłało książki. Przyszły one drogą naturalną, ale w pierwszej chwili starzec nie mógł pochwycić tych myśli. Polskie książki w Aspinwall, na jego wieży, wśród jego samotności, była to dla niego jakaś nadzwyczajność, jakieś technienie dawnych czasów, cud jakiś. Teraz wydało mu się, jak owym żeglarzom wśród nocy, że coś zawołało na niego po imieniu głosem bardzo kochanym, a zapomnianym prawie. Przesiedział chwilę z zamkniętymi oczyma i był prawie pewny, że, gdy je otworzy, sen zniknie. Niel Rozcięta paczka leżała przed nim wyraźnie, oświecona blaskiem popołudniowego słońca, a na niej otwarta już książka. Gdy stary wyciągnął znowu po nią rękę, słyszał wśród ciszy bicie własnego serca. Spojrzał: były to wiersze. Na wierzchu stał wypisany wielkimi literami tytuł, pod spodem zaś imię autora. Imię to nie było Skawińskiemu obce; wiedział, że należy ono do wielkiego poety, którego nawet i utwory czytywał po trzydziestym roku w Paryżu. Potem, wojując w Algierze i w Hiszpanii, słyszał od rodaków o coraz wzrastającej sławie wielkiego wieszczka, ale tak przywykł wówczas do karabina, że i do ręki nie brał książek. W czterdziestym dziewiątym roku wyjechał do Ameryki i w awanturniczem życiu, jakie prowadził, prawie nie spotykał Polaków, a nigdy książek polskich. Z tem większą też skwapliwością i z tem żywiej bijącym sercem przewrócił kartę tytułową. Zdało mu się teraz, że na jego samotnej skale poczynna

się dzieć coś uroczystego. Jakoż była to chwila wielkiego spokoju i ciszy. Zegary Aspinwallskie wybiły piątą popołudniu. Jasnego nieba nie zaciemniała żadna chmurka, kilka mew tylko pławiło się w błękitach. Ocean był ukołysany. Nadbrzeżne fale zaledwie belkotały z cicha, rozpiływając się łagodnie po piaskach. W dali śmiały się białe domy Aspinwallu i cudne grupy palm. Naprawdę było jakoś uroczyście a cicho i poważnie. Nagle wśród tego spokoju natury rozległ się drżący głos starego, który czytał głośno, by się samemu lepiej rozumieć:

»Litwo, ojczyzno moja, ty jesteś, jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie...«

Skawińskiemu zabrakło głosu. Litery poczęły mu skakać do oczu; w piersi coś urwało się i szło kształt fali od serca wyżej i wyżej, tłumiąc głos, ścisnąc za gardło... Chwila jeszcze: opanował się i czytał dalej:

»Panno Święta, co jasnej bronisz Częstochowy
I w Ostrej świecisz bramie! Ty, co gród zamkowy
Nowogrodzki ochraniasz z jego wiernym ludem!
Jak mnie, dziecko, do zdrowia powróciłaś cudem,
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę,
Ofiarowany martwą podniosłem powiekę
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu
Iść, za wrócone życie podziękować Bogu),
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono...«

Wezbrana fala przerwała tamę woli. Stary ryknął i rzucił się na ziemię; jego młeczne włosy

zmieszały się z piaskiem nadmorskim. Oto czterdzieści lat dobiegało, jak nie widział kraju, i Bóg wie ile, jak nie słyszał mowy rodzinnej, a tu tymczasem ta mowa przyszła sama do niego — przepłynęła ocean i znalazła go, samotnika, na drugiej półkuli, taka kochana, taka droga, taka śliczna. We łkaniu, jakie nim wstrząsało, nie było bólu, ale tylko nagle rozbudzona niezmierzona miłość, przy której wszystko jest niczem... On po prostu tym wielkim płaczem przeproszał tę ukochaną, oddaloną za to, że się już tak zestarzał, tak zżył z tą samotną skałą i tak zapamiętał, iż się w nim i tęsknota poczyniała zacierać. A teraz »wracał cudem« — więc się w nim serce rwało. Chwile mijały jedna za drugą: on wciąż leżał. Mewy przeleciały nad latarnię, pokrzykując, jakby niespokojne o swego starego przyjaciela. Nadchodziła godzina, w której je karmił resztkami swej żywności, więc kilka z nich zleciało z wierzchu latarni aż do niego. Potem przybyło ich coraz więcej i zaczęły go dziać lekko i furkotać skrzydłami nad jego głową. Szumy skrzydeł zbudziły go. Wypłakawszy się, miał teraz jakiś spokój i rozpromienienie, a oczy jego były jakby natchnione. Oddał bezwiednie całą swoją żywność ptakom, które rzuciły się na nią z wrzaskiem, a sam wziął znowu książkę. Słońce już było przeszło nad ogrodami i nad dziewiczym lasem Panamy i staczało się zwolna za międzymorze, ku drugiemu oceanowi, ale i Atlantyk był jeszcze pełen blasku: w powietrzu widno zupełnie, więc czytał dalej:

Tymczasem przenoś duszę moją utęsknioną
Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych...

.....
.....

Zmierzch dopiero zatarł litery na białej karcie: zmierzch krótki, jak mgnienie oka. Starzec oparł głowę o skałę i przymknął oczy. A wówczas »Ta, co jasnej broni Częstochowy« zabrała jego duszę i przeniosła »do tych pól, malowanych zbożem rozmaitem«. Na niebie paliły się jeszcze długie szlaki czerwone i złote, a on w tych światłościach leciał ku stronom kochanym. Zaszumiały mu w uszach lasy sosnowe, zabelkołały rzeki rodzinane. Widzi wszystko, jak było. Wszystko go pyta: »pamiętasz?« On pamiętał a zresztą widzi: pola przestronne, miedze, łąki, lasy i wioski. Noc już! O tej porze już zwykle jego latarnia rozświecała ciemności morskie — ale on teraz we wsi rodzinnej. Stara głowa pochyla się na piersi i śni. Obrazy się przesuwają przed jego oczyma szybko i trochę bezładnie. Nie widzi domu rodzinnego, bo starła go wojna, nie widzi ojca ani matki, bo go odumarli dzieckiem, ale zresztą wieś, jakby ją wczoraj opuścił: szereg chałup ze światelkami w oknach, grobla, młyn, dwa stawy, podane ku sobie i brzmiące całą noc chórami żab. Niegdyś, w tej swojej wiosce stał całą noc na widecie; teraz przeszłość ta podstawia się nagle w szeregu widzeń. Oto znowu jest ułanem i stoi na widecie: zdala karczma pogląda płonącym oczyma i brzmi i śpiewa i huczy wśród ciszy nocnej tupotaniem, głosami skrzypiec i baseth. »U-hał U-hał« To ułany krzeszą ognia podkówkami

A jemu tam nudno samemu na koniu! Godziny wloką się leniwo, wreszcie światła gasną; teraz, jak okiem sięgnąć, mgła i mgła nieprzejrzana: opar widocznie podnosi się z łąk i obejmuje świat cały białawym tumanem. Rzekłbyś: zupełnie ocean. Ale to łąki: rychło czekać, jak derkacz ozwie się w ciemności i bąki zahuczą po trzeinach. Noc jest spokojna i chłodna, prawdziwie polska noc! W oddali bór sosnowy szumi bez wiatru... jak fala morska. Wkrótce świtanie wschód ubieli: jakoż i kury pieją już w zapłociach. Jeden drugiemu podaje głos z chaty; wraz i żorawie krzyczą już gdzieś z wysoka. Ułanowi jakoś rzeżko, zdrowo. Coś tam gadali o jutrzejszej bitwie. Hej! to i pójdzie, jak pójdą inni z krzykiem i furkotaniem chorągiewek. Młoda krew gra, jak trąbka, choć powiew nocny ją chłodzi. Ale już świta, świta! Noc błędnie: z cienia wychylają się lasy, zarośla, szereg chałup, młyn, topole. Studnie skrzypią, jakby blaszana chorągiewka na wieży. Jaka ta ziemia kochana, śliczna w różowych blaskach jutrzni! Oj, jedyna, jedyna!

Cicho! Czuźna wideta słyszy, że się ktoś zbliża. Zapewne idą złuzować warty.

Nagle jakiś głos rozlega się nad Skawińskim:

— Hej, stary! wstawajcie. Co tam wam?

Stary otwiera oczy i patrzy ze zdziwieniem na stojącego przed sobą człowieka. Resztki snu i widzeń waleczą w jego głowie z rzeczywistością. Wreszcie widzenia bladną i nikną. Przed nim stoi Johns, strażnik portowy.

— Co to? — pyta Johns — cherzyście?

— Nie.

— Nie zapaliliście latarni. Pójdziecie precz ze służby. Łódź z San-Geromo rozbiła się na mieliźnie, szczęściem nikt nie utonął; inaczej poszlibyście pod sąd. Siadajcie ze mną, resztę usłyszycie w konsulacie.

Stary pobladł: istotnie nie zapalił tej nocy latarni.

W kilka dni później widziano Skawińskiego na pokładzie statku, idącego z Aspinwall do New-Yorku. Biedak stracił posadę. Otwierały się przed nim nowe drogi tułactwa; wiatr porywał znowu ten liść, by nim rzucać po lądach i po morzach, by się nad nim znęcać do woli. To też stary przez te kilka dni posunął się bardzo i pochylił; oczy miał tylko błyszczące. Na nowe zaś drogi życia miał także na piersiach swoją książkę, którą od czasu do czasu przyciskał ręką, jakby w obawie, by mu i ona nie zginęła.

E. ORZESZKOWA

DALEKO ♣ KARYERY



NAKLAD GIEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA · KRAKÓW · LUBLIN · ŁÓDŹ
POZNAN · WILNO · ZAKOPANE

Zakłady Graficzne „NASZA DROKARNIA” w Warszawie.

DALEKO.

Przepyszny widok. Pośrodku, w dwóch wysokich, granitowych ścianach szklany szlak zamarzłej rzeki, z jednej jej strony długi szereg wykwinnych pałaców, z drugiej – przestrzeń rozległą, z półkolem ciężkich, wspaniałych gmachów. Nad rzeką i jej granitowymi ścianami biegną balustrady¹⁾. w zlocenia zdobne, jak marzenia lekkie; pałace mają wielkie, kryształowe, niezliczone oczy i białe lub szare ściany, lecz tym ostatnim szron, który je okrywa, nadaje pozór srebrnych. Szron okrywa także z rzadka rozsiane drzewa, poręcze balustrad i szklany szlak rzeki, a puchy śniegu lekkie piętrzą się na dachach gmachów, zaścielają ulice i wznoszą się nad niemi w długie, pogłębione wały. Wszystko to pod bladym błękitem nieba migocze i płonie miryadami²⁾ iskier, bo, choć kula

¹⁾ Poręcze.

²⁾ Miliony milionów.

Słoneczna zatoczyła się już uizko za wspaniałe gmachy, blask jej przecież rozrzuca po tem białem polu obfity siew brylantów. Białe tu jest, bogato, przepysznie, tak jak gdyby potężni i natchnieni czarodzieje dźwignęli nad ziemią to areydzioło z kamieni, metalu, kryształu, śniegu i brylantowych szronów.

Wobec rozlegających się dokoła i bujających ku górze obszarów, bardzo mały, wobec wypełniających te obszary blasków, bardzo biednie wyglądający, opuścił on jeden z ciężkich, wspaniałych gmachów i biegł ku mostowi, którego wdzięczne łuki spajały dwie przeciwległe strony rzeki. Nie szedł, ale biegł: wynoszony, zbyt krótki, szmatami starego futra podszyty paltot, którego rękawy gwałtownie kołysały się po obu jego bokach, z całej siły u piersi podtrzymywał. Lat miał dwadzieścia parę, pierś wąską, włosy złotawe i nisko na kark spadające, twarz pod daszkiem małej czapki mizerną i bladą, jakkolwiek mroz zaczął czerwienić jej koniec nosa i część zapadłych policzków.

Zimno, choć nie najbardziej. Tylko dwadzieścia stopni mrozu wskazują termometry miejskie, lecz od zamarznętej rzeki wzbijają się i lecą, jak ostrza nożów, siekące fale wiatru. Niekiedy opadają i kładą się w dole na szklanej pościeli, ale po chwili z przeraźliwym jękiem granitową kotlinę znowu opuszczają, lecą z szumem, o ściany pałacu tłuką i wszystko, co po drodze, ostrzami nożów siekają.

Fale wiatru szczupłym ciałem przerzynając i mizernym paltotem otulając się coraz mocniej,

wesoło zagwizdał; krótko, ale wesoło, a krótko dlatego, że napadł go chrypliwy, uporczywy kaszel. Skąd się u licha ten kaszel do niego przyczepił?

Aniby zresztą uwagi na niego nie zwrócił, gdyby nie kolega z medycyny, który go raz gwałtem rozebrał, opukał, osłuchał i zawyrokował, że jest to katar oskrzeli, który przy sprzyjających okolicznościach z łatwością uleczony zostać może, lecz przy niesprzyjających... Paradny radca ze swemi sprzyjającemi okolicznościami! »Za parę tygodni najmę sobie apartament, kaloryferami¹⁾ ogrzewany, i wychodzić zacząć nie inaczej, jak w wilczurze i berlaczach²⁾. Tymczasem i bez tego wyzdrowieję«.

Jakże może myśleć inaczej, skoro czuje się tak silnym, że w pogoni za tem, co umysł jego zaciekawia, jednym tchem, zda się, zabiedz mógłby na koniec świata. Ma też ogromną, palącą ochotę wzięcia udziału w tym wielkim teatrze, którym jest świat, i odegrania na nim roli nie najmniejszej. Po to tu właśnie od lat trzech przebywa, aby należycie przysposobić się do tej roli. Nauka jest sama w sobie rzeczą arcyciekawą i miłą, ale on w niej widzi jeszcze czarodziejski sznurek, który z nieprzejrzanych wysokości ściąga na ziemię ideały; a ideały — to jego kochanki, ku którym wre krew, bije serce, wypręża się wola i o których nie mniema wcale, aby niedostępnymi były. Jeżeli

¹⁾ Przystawki do ogrzewania mieszkań.

²⁾ Ciepłe sukienne obuwie.

dotąd nie sprowadzono ich na ziemię, to tylko z przyczyny, że niedołącznie się do tego brano. Ale teraz wszystko dobrze i szybko pójdzie. Wierzy w to mocno, że w obronie swoich ideałów i swojej wiary w ich ziszczenie na stos rozpalony wskoczyłby kontredansowym krokiem.

Teraz także, gdy długi most przebywa, krok jego do kontredansowego jest podobny. Biegnie, o żelazne kraty nogami uderza, aby je nieco rozgrzać, zatrzymuje się na chwilę, paltot na rękawy wkłada i od góry do dołu zapina. Może tak ciepłej będzie! Brz! jakie dreszcze! Nie to. Ślamazarników tylko łada jaki katar za nos wodzi. On mu się nie da. Oho! nie zginie!

Wtem słyzy głos szybko mijającego kolegi medyka.

— Hej, hej, Poleszuk, a krwią jeszcze nie plujesz?

— Solą ci w oczy, a suchą miotłą w zęby — odkrzykuje — i to zakłęcie poleskich chłopów w plecy odchodzącemu rzuciwszy, znowu wesóło pogwizdywać zaczyna, z czerwonymi rękami, zanurzonemi w podarte kieszenie paltota, z głową do góry.

— Czy ja krwią pluję? ani mi się o tem śniło! Pyszny sobie facet: myśli, że mam suchoty. Oho, dyabła one zjedzą, nie mnie! Gorsza sprawa, że jeść chce się pieknie. U nas, na Polesiu, ludzie codziennie obiady jadają. To bardzo dobry zwyczaj, i szkoda, że go zamedbał... chociaż wszędzie zdarzają się pod tym względem wypadki,

a rzecz tę ściślej analizie¹⁾ poddawszy, cieszę się, że do wyjątków należę i obiadów nie jadam. Tylko prosiłbym pięknie o parę bułek i o cokolwiek do bułek. Tak skromne żądanie losy prędzej czy później niezawodnie spełnić raczą, ale dziś to już nie z tego nie będzie. Pał licha! Gorsza sprawa, że wczoraj wszyściuteńką naftę wypaliłem, a nie jestem przecież rysiemi²⁾, abym w ciemnościach... Głupia facecya! Ani kopiejki w kieszeni, a lekecy jak niema, tak niema. Trzy razy ogłaszałem się w gazetach, i żeby choć pies zażądał fizyonomię moją zobaczyć! Jakby pod ziemię pochowały się... żeby choć jedna! W zeszłym roku były jakie takie, a w tym...

— Lek-cy-e zmienne są! — na nutę operowej arii zagwizdał znowu i znowu zakaszał. a gdy kaszlać przestał, myślał, że co tam! lekecy dziś, jutro najpewniej dostanie, tylko doczekać się ich trzeba.

— Ciekawym, dlaczego czekać nie mogę? Sił mi brakuje, czy co? Stary może jestem i ledwo nogi po ziemi zaciągam, albo Heliogabalem³⁾ urodziłem się, aby mi złamany w pościeli fijołek dolegał? Głodno, to głodno. Nie na to człowiek żyje, aby jadał; nie dlatego w salomonowe szaty myśli i woli przyodziany, aby go głodny żołądek po arł. Poczekaj, panie głodzie! Tęgi z ciebie facet, alem ja żołnierz i sztandarem swoim po łbie tłuc cię

¹⁾ Rozbiór, rozpatrzenie.

²⁾ Zwierzę drapieżne, mające wzrok dosłonna.

³⁾ Cesarz rzymski, słynny ze zdyktownego życia.

będę, dopóki sił stanie, a mam ich mnóstwo! Ho, ho, nie zginę!

Przepyszny widok, zupełnie inny, niż tamten, ale jeszcze wspanialszy, bogatszy, a przede wszystkim ludniejszy. Pośród dwu rzędów domów tak wysokich, że z dołu nie widać okrywającego dachy ch śniegu, ulicę, jak nieskończoność, długą, jak ramię olbrzyma szeroką, okrywa tak gęsty ludzki i zwierzęcy tłum, że gdzieniegdzie tylko pobłyskuje z pośród niego śnieg, zaścielający ją od krańców do krańców. Domy białe, śnieg biały, tylko wstęga nieba nad ulicą blado-błękitna, tłum ją okrywający pstry i po obu stronach tłumy dwa szlaki szyb kryształowych, jaśniejące połyskami i barwami drogich metali, kamieni i materii. W tłumie tyleż przynajmniej koni, ile ludzi. Jedne małe, gęsto-grzywe, mkną, jak błyskawice; inne rosłe i szlachetne, spokojnie, poważnie kroczą. Te, do apokaliptycznych¹⁾ zjawień podobne, cwałują z potężnymi szyjami, w przeciwne sobie strony wygiętymi; tamte biegną szybko, równo, z wdziękiem kołysząc wytworne ciała. Wszystkie ciągną za sobą nieprzeliczoną ilość sań malutkich, większych, wielkich, rozłożystych, na których znowu w zmiennym, szalonym wirze ścigają się, krzyżują, przemykają, przelatują puchy bogatych futer, barwy kosztownych strojów, wysokie pióropusze, złożone guzy, jaskrawe naszytia... Nad tą wezbraną rzeką ruchu gdzieniegdzie stoją szeregi nieruchomych, drogo-

¹⁾ Apokalipsa, księga pełna widzeń, napisana przez św. Jana apostoła.

cennymi głowicami jaśniejących kolumn świątyni, lub złota strzała wybiega z wieżycy i stałym promieniem przerzyna błękit nieba. Krzyku, wrzawy, turkotu niema; tylko wielki, wzdymający się, to przycichający szmer, a w nim metaliczne, nieustanne, ciągle, ciągle dzwonienie niezliczonych dzwonków. Bogato tu, przepysznie, szumno, rojno, wesolo — tak, jak gdyby czarodzieje na to jedno miejsce światła zgarnęli wszystką jego wspaniałość, wesołość, rozkosz i dumę.

Wobec rozlegającego się za nim i przed nim obszaru niezmiernie mały, wobec napełniającej ten obszar siły i dumy niezmiernie mizerny i słaby, przesuwiał się on brzegiem chodnika, tuż pod szlakiem szyb kryształowych, jaśniejących blaskami i barwami drogich metali, kamieni, materyi.

Prędko zająć musiał do swego mieszkania, aby przed zapadnięciem zmroku zrobić, co mu dziś do zrobienia pozostało, bo gdy ściemnieje — Amen! nafty niema! Głupia sztuka, tem głupsza, że ta książka, którą od kolegi pożyczył, jest czemś cudownem, czemś, od czego w mózgu mu się rozjaśnia, jak od pochodni... Niewiele jej dziś przeczyta, ale co tam! dokończy ją wtedy, gdy będzie miał za co lampę u siebie zapalić. Tymczasem przepędziłby wieczór u którego z kolegów, albo w czytelni, gdyby nie to, że spać mu się zachciało ogromnie.

Dziwna rzecz! Przed kwadransem jeszcze czuł się tak rażnym i silnym, że gdyby tylko szło o coś ważnego, podjąłby się z miejsca na miejsce przenieść jeden z tych pałaców, które mijał. Teraz zaś

znagła ogarnęła go taka senność, że zaledwie poruszać się jest w stanie. Czy to z zimna, czy z głodu, czy z innej jakiej przyczyny nogi tak słabną, a powieki w dół opadają.

Tyle tylko przytomności w głowie mu zostaje, że sam do siebie woła :

— Pał licha! jak zdenerwowana panienka, mdleć będę, czy co?

I taka go złość przeciw sobie samemu porywa, że z nadzwyczajnem wysileniem wyprostowuje ciało i duszę, głowę do góry podnosi i oczy szeroko otwiera. Bajki to są, że człowiek znieść nie może tego, co znieść potrzeba! Mam przecie wolę, zdolną ziemię z posad jej poruszyć, myśl, tylu rzeczy namiętnie ciekawą, wiarę w ideały, pewność ich ziszczenia, nadzieję, że w ich ziszczaniu znakomity wezmę udział... Reszta jest głupstwem... hej, hej, wytrzymam!... nie zgine!

Wtem stanął i wpatrzył się w jedno z wielkich okien, których szereg nieprzejrzany ciągnął się za nim i przed nim. To przecież okno nie jaśniało blaskami ani barwami drogich metali lub mastyry, lecz na przepyszną ulicę patrzył przez nie sklep paszтетnika, pełen takich gastronomicznych¹⁾ dziwów, o których nie każdemu śnić się nawet może. Jemu śnić się one mogły, bo widywał je często w tem oknie, w wielu innych, ale nie śniły się dotąd nigdy może dlatego, że, mijając je, miewał zawsze głowę tak nabitą dziwami wiedzy i przyszłego ziemskiego raj, że dla gastronomicznych

¹⁾ Gastronomia — umiejętność przyrządzania potraw.

dziwów miejsca w niej nie było. W tej chwili przecież głowa opustoszała mu tak dalece, że sklep paszтетnika ze wszystkim, co w nim było, wjechał do niej odrazu z wielkim gwałtem. Zjadłby, pożarłby te ryby ze złotawą i błyszczącą od tłuszczu skórą; tego jarząbka, jak pomarańcza okrągłego ten kawał pasztetu, tamten sera i jeszcze tamten pulchnego ciasta.

Napilby się też z ochotą, nawet chciwie, z jednej z tych butelek, które wznoszą się lasem błyszczących korków i etykiet! Jak rozkosznymi być muszą to ciepło i ta moc, które od kilku haustów wina rozechodzą się po żyłach! Jak rozkosznym być musi uczucie nasycenia, stopniowo, łagodnie gojące ranę głodu, która mu teraz przed oknem paszтетnika straszliwie dolegać zaczęła. Pal licha, jak dolega!

Nagle, jak koń z kapieli wychodzący, otrząsł się, rękami zamachał, małą czapkę na głowie przesunął, odszedł. Piękna historia! Rozpasały się w nim apetyty bydlęce, i wodze im puścił. Cóż to? Jak pies zgłodniały, wywieszać będzie język przed oknami, pokazującemi chleb i mięso? Ciało ma swoje prawa: wymagającą, potężną, brutalną jest siła materyi. Lecz nie samo zmysłowe użycie jest szczęściem, nie samo fizyczne nasycenie siłą, nie sam wycisk winogron skrzepieniem i ciepłem. Hej, wielu na ziemi, do których pięty nawet nie dorosłem, więcej ode mnie znosili, znoszą... i ja nie zgine!

Szedł dalej z głową do góry, ale znacznie powolniej, niż wprzód. Ze skostniałemi rękami,

w podarte kieszenie paltota zanurzoneimi, myślał o wielu rzeczach, a wśród nich i o tem, że cudowne to jest ustanowienie, aby ludzie dla osiągnięcia możności uczenia się uczyli innych. W zeszłym roku, gdy ustanowieniu temu podlegał, to jest uczył się sam i zarazem innych uczył, żył jak pan, trzy razy na tydzień obiady jadał, co trzeci dzień w piecu palił, a o resztę nie dbał. Teraz, gdy całej połowy roboty zabrakło, kusa sprawa! Trzeba raz jeszcze ogłosić się w gazetach. Tymczasem możeby z kasy pożyczkowej... Kiedyżbo, odkąd lekcyce miewać przestał, zaczerpnął z niej już wszystko, do czego miał prawo. Poza prawem jest jeszcze łaska i litość ludzi, lecz dyabła zjedzą, zanim on o łaskę i litość poprosi! Do rodzonej matki nawet o pieniądze nie pisze nigdy, choć biedactwo dla niego skóreby z siebie zwlokło. Ale właśnie dlatego i nie pisze, że biedactwo, i że skóreby zwlokło, gdyby wiedziało... Nie wie; donosząc jej o sobie, kłamie, jak najęty, bo od nikogo, nawet od rodzonej matki niczego żądać nie powinien. »Niezależność, samodzielność, oto hasła moje, jeżeli ze mnie mają być ludzie. Będą! Uprę się, zniosę, wytrzymam, nie zginę!«

Smutny, tęskny widok. Ulica nie tamta, przepyszna, ale inna; uboczna, tak prawie szeroka i długa, jak tamta, ale pusta, cicha. Po obu jej stronach stoją dwa wysokie, równe, białe rzędy domów, z wielu rzędami wielkich, równych, milczących okien; nad domami wstęga nieba, obleczonego w przedwieczorną bladość. Kiedy niekiedy zaledwie przebiega tędy szybki przechodzień lub

wielkim pędem przelatują sanki; potem znowu cisza, a w niej oddalone, metaliczne, ciągle dzwonienie, z ludnych miejsc miasta dochodzące; zimne połyski mnóstwa zamarzłych okien — i księżyc, który, u końca nieprzejrzanego szlaku ulicy wschodząc, wśród powszechnej białości złotym sierpem świeci...

Białość powszechną i zimne połyski zamarzłych okien miał w oczach, a ciszę pełną oddalonego dzwonienia w uszach, gdy wchodził do swego mieszkania.

Zimno! o tyle tylko mniej, niż na ulicy, że wiatr za grubemi ścianami pozostał, ale mróz na tych ścianach srebrnemi iskrami szronu błyszczy i szyby okna alabastrową¹⁾ rzeźbą okrywa.

Pokój obszerny, bo we trzech mieszkali tu od dość dawna, ale tamci na czas jakiś przenieśli się do kolegów, posiadających opalane piece. Bo tu żelazny piecyk w kształcie czerwonego słupa od paru tygodni zupełnie bezużytecznie w kącie stoi. Naprzeciw niego leży na ziemi coś naksztalt pościeli, u innej ściany stół z trochę papierów i książek, krzesło z podartem słomianem siedzeniem. Wszystko to w obszernym, wysokim pokoju ma pozór wysepek, rozrzuconych po oceanie, na który spływa zmrok.

Dłużej niż zwykle przebywał dziś swoją codzienną kilkowiorstwą drogę, dłużej niż zwykle wspinał się na pięciopiętrowe wschody i —

¹⁾ Białe, w pół przezroczysty kamień, z gatunku wapieni.

doczekał się zmroku. Basta! Z czytania tej książki, o której, idąc, wiele myślał, nic już nie będzie.

Ta przeciwność wzmacnia w nim chęć dowiedzenia się czegoś, a ciekawość ta w mózgu jego przybiera formę umysłowego głodu, który dokuczać mu zaczyna więcej, niż tamten fizyczny. Tamten nawet przycichł teraz znacznie i znać daje o sobie tylko już przez dokuczliwe palenie, kurczenie się wewnętrzne. Przestałby go czuć zupełnie najpewniej, gdyby się mógł w czytaniu tej książki zanurzyć; trudna jest, skupienia uwagi wymagająca, lecz w tem to właśnie urok jej spoczywa.

Ale coż robić, skoro nafty niema? A może gdziekolwiek znajdzie się jeszcze kilka jej kropli, odrobina? Czapkę tylko zdjął i w paltoście po pokoju chodząc, w różnych jego kątach i schówkach zdrewniałemi rękami grzebał. Podniósłszy się z nad ostatniej, ruchem, zarówno gniew, jak zmartwienie objawiającym, na krzesło usiadł. Figa z makiem! nie znalazł nigdzie nic: wszędzie całkowita, absolutna próżnia. Zmrok zapada coraz głębszy; w pokoju i za jego ścianami cisza, a w niej czasem rozlega się ochrypły kaszel i ciągle, ciągle w oddaleniu metalicznie brzęczą niezliczone dzwonki.

»Jednak z materji powstaje i składa się wszystko, co istnieje, jej prawa rządzą bytem organizmów, od bacyllusów ¹⁾, których miliony mieszczą się na główce śpilki, do Sokratesów ²⁾, z których jeden pośród miliona rodzących się przybywa

¹⁾ Zyjątko mikroskopijne

²⁾ Mędzrec grecki.

na glob ziemski. Wiem o tem dawno, dokładnie. mamemam przecież i wierzę, że w najwyższych swych kombinacjach jestestwa wytwarzają siłę moralną, która skutecznie opierać się może kombinacyom niższym. Więc walka zwycięska u końca, lecz długa, zażarta, powszechna. Początek jej u pierwszego świtania wieków, kres zaledwie widzialny; tryumf pewny, lecz po drodze zwyciężonymi usłanej kroczący. Może więc należeć będę do Fakirów ¹⁾, po których przejeżdża ciężki wóz D/agarnatha? ²⁾ Czemużby nie? Tylu pod koła jego upadło; rzecz ludzka, a jam nie nadprzyrodzony fenomen! ³⁾ Może cząstki mego ciała, potrzebujące odżywienia, spłoną bez niego marnie i przedwcześnie? Może żadne wysilenie się masy mojego mózgu nie przeszkodzi masie moich płuc rozłożyć się i mnie całego rychło do ojca Abrahama na piwo wyprawić? Może nie oprę się, nie wytrzymam, wyższemi kombinacyami mego jestestwa nie zwyciężę niższych?«

Przygarbione plecy wyprostował.

A cóż będzie z tymi wielkimi, świętymi celami życia, które... o których... dla których...

Zgarbił się znowu, niedbale ręką rzucił.

— No, byli przed nami święci, którzy garnki lepia, lepić będą i po nas! (Czy my Atlasy ⁴⁾), aby świat runął, gdy się przewrócimy! Ha, ha, Atlasy!

¹⁾ Kapłani i wróżdźci hindusew

²⁾ Pożek hinduski.

³⁾ Zjawisko, wyjątek

⁴⁾ Postać mitologiczna grecka, olbrzym, dźwigający na barkach strop niebieski.

Fikniemy sobie, a świat pójdzie swoją drogą i do swoich celów dojdzie -- bez nas!

Za oknem ciągle, ciągle brzęczy dzwonienie metaliczne, oddalone; on leży już na swojej niskiej pościeli, wszystkimi łachmanami, które posiada, okryty, z głową tylko wynurzoną z bezkształtnej ich kupy.

Zmrok rozwidnił się teraz, bo światło księżyca pozłociło zamazane okno, i szron, okrywający ściany, srebrnymi iskrami usiało. Oświeciło też rozsypane po łachmanach złotawe, długie włosy i parę oczu, świecących gorączką, a z wytężeniem wpatrzonych w okno.

Jakież to dziwne, śliczne rzeźby wystąpiły od mrozu na wielkie szyby okna! W świetle księżyca tak wyglądają, jakby zrobione były z alabastru, przepojonego złotem, a chociaż fantastyczne, do czegoś w rzeczywistości widzianego są podobne, coś dobrze znanego natarczywie przypominają. Do czego one podobne? Co przypominają?

A! wie już, pamięta... Tu, w dole, krzak paproci rozwija szerokie, wzorzyste liście, a pod nim płatanina drobnych pręcików i kwiatków, takich właśnie, jakimi wrzos liliowy oplątuje czasem mchy zielone, a czasem żółte piaski. I mchy są także na środkowej szybie: rozpuściły delikatne piórka pod przysadzystym jałowcem, takim, jak ten, pod którym Zosia najczęściej zwykle rydzów znajdowała.

Widać zaraz, że mróz po całym świecie chodzi; był także na Polesiu i z lasów jego przyniósł tu wzory dla rzeźb swoich. Te lasy, mile, głąbo-

kie, pełne samotnych polan i tajemniczych ścieżek, szarego ptactwa, rudych wiewiórek, stoją sobie w tę noc zimową uspione, daleko — daleko...

Wznosi oczy ku szybie najwyższej i spostrzega na niej jodełkę, bardzo wyraźną, śpiczastą u góry, a ku dołowi coraz szerzej rozpuszczającą gałęzie, zupełnie taką, jaka rośnie na cmentarzu wiejskim, nad mogiłą jego ojca. Ta niska mogiła z dwoma krzakami róż, przez matkę zasadzonymi, cieniem jodły okryta, śpi spokojnie w tę noc zimową daleko!

Wtem podniósł się na łokciu i, do połowy z łachmanów wynurzony, z głową naprzód podaną, patrzył, nie na okno już, lecz w pustą przestrzeń pokoju. W tej przestrzeni widział rzecz szczególną. Był to wiąz stary, wysoki, taki, jak ten, który stał przed ich domem pośrodku małego dziedzińca; i od tego wiazu odrywający się liść młody, świeży, poranną rosą błyszczący. Oderwał się od drzewa, w ślicznej pogodzie leci, cały zielony, to złoty, jak motyl, jak cudowny fenomen natury, ziemi nie dotykając i drwiąc sobie z jej praw i ciężarów... to niżej, to wyżej, coraz dalej leci... Ciekawość, ciekawość, co się z nim stanie, u jakiej gwiazdy, u którego z promieni słońca zawisnie? Leci ciągle, jest już daleko, a wiąz, od którego gałęzi oderwał się, szarzeje, maleje, znika w oddaleniu...

Wtem: co to? Powstają dwa naraz tumany — jeden ze śniegu, który ciągle pada, drugi z dźwięków, które ciągle brzmią metalicznie. Pełnemi ich są: powietrze, ziemia, przestrzeń; unoszą się, płyną, wirują dokoła liścia i nad nim, porywają go z sobą

w wir i krążenie, wśród którego liść szarzeje, maleje, niknie, — a śnieg ciągle pada, pada, i słyhać ciągle, nieustanne, metaliczne dzwonienie niezliczonych dzwonków.

Opadł znowu na pościel, i zamykając oczy, z wolna wymówił :

-- Jak ten liść...

KARYERY.

Od kilku miesięcy obaj o jednej porze wchodzili do szyneczku, wnosząc z ulic wielkiego miasta śnieg na niezgrabnem obuwiu i nosy zaczerwienione od mrozu, a z tajemnych głębin swego życia paltoty poplamione i oczy metne, znudzone, ponure. Jeden miewał na głowie kołpak, podartem futrem obszyty, a na szyi szal czerwonej barwy; drugiego czapka białą gwiazdką nad wykrzywionym daszkiem świeciła, a szyja długa, cienka, koścista, wyciągała się naprzód ruchem żórawia, poszukującego żeru, albo człowieka, upatrującego najlepszego do utopienia się miejsca na wodzie. Pierwszy był krępy, barczysty, rumiany; drugi — wysoki, chudy, z długą, żółtą, kościstą twarzą. Tamten mówił chętnie i wiele, na poniesione krzywdy wyrzekał, czasem przekleństwa miotał, czasem świetne widoki przyszłości roił; ten pił i przekąsywał w milczeniu, ponuro w ziemię patrzył, czasem drzemał, lub w podartym notatniku pisał, lub

plecami do ściany przyłgnąwszy, z opadłą na piersi głową, ciszej to głośniejsz niezrozumiale pieśni jakieś nucił. Kiedy krępy i rumiany, wzięwszy się pod boki, albo zuchwale ramionami rozmachując, wykrzykiwał: »Ej, ojczulku, jeszcze mnie z kuli ziemskiej nie zrzucili! jeszcze oni przede mną ręce, jak struny, wyciągać będą! Jeszcze ja im, na wysokiem krześle siedząc, figi pod nos, a kolaniem w plecy dawać będę!« kiedy zaś ciche zrazu nuci nie drugiego przechodziło w cienki dyskant¹⁾, słysząc w niem było słowa: »Ptaszku, ptaszku, skąd przylatasz, czy nie z moich stron?« — był to znak, że obaj już dobrze sobie podpiłi. Lecz kiedy pierwszy, mnóstwo procesów wygrawszy i krzywdy doznane pomściwszy, przesuwiał się z wysokiego na jeszcze wyższe krzesło, zapytywał miłą, lecz niewierną Tanię: czy teraz, gdy on tak wysoko siedzi, chciałaby losy jego dzielić? — aha! czy teraz nie żałuje, że takiego, jak on, człowieka porzuciła? aha! — zaś drugi, coraz cieńszym i żałośliwszym dyskantem nucił: »Po mej śmierci nie zadzwoni mój ojczysty dzwon« — znaczyło to, że byli obaj zupełnie już pijani.

Długo o jednej porze do jednego miejsca przychodząc, nie znali się wzajem, przelotnie chyba siebie spostrzegali. Każdy z nich był zajęty sobą i sobie tylko znaną przepaścią, z której tu przyhywał. Pewnego dnia jednak zaszło zbliżenie.

Szynk był mały i podrzędny. Weszli do niego prawie jednocześnie, w chwili, gdy nad szeroką,

¹⁾ Wysoki nglos.

śniegiem zastaną ulicą zapalił żółte, od muślinowej firanki mętne, światło swego okna. Weszli i z daleka od siebie, przed butelkami, czarkami i misami, pełnemi kwaszonych ogórków i śledzi, zasiedli. Innych gości jeszcze nie było. Znacznie później wszech tu miał ruch i hałas; teraz panowały jeszcze pustka i cisza. U ścian i okna w skąpem świetle gazowego płomyka pobłyskiwały szkła i zawarte w nich płyny, w ciemnym kącie zegar głośno i jednostajnie tętnił, za bufetem przy ziemi ktoś metalowemi i szklanemi naczyniami pobrzakiwał, za oknem czasem ze wzdychaniem i jękiem zaszalała zawierucha śnieżna, lub po zmarzłym śniegu zgrzytając, przeleciały sanki, z których niegłośnem dzwonieniem łączył się ostry gwizd powożącego, albo głośne i krótkie zakłęcie powozonego: »Eh ty, dyabli bałwanie, szybciej!«

Jeden z gości szynku, nudząc się i niecierpliwiąc, że gadać z kim niema, pił jeszcze niewiele, zżymał się, niezrozumiale mruczał; drugi dość długo w podartym notatniku pisał, zawartość czarki po kropli sączył, aż piecami do ściany przylgnał i może zadrzemał, bo powieki przymknął. Pierwszemu do wysokiego krzesła i zdradliwej Tani, drugiemu do płaszka z jego stron i ojczystego dzwonu daleko jeszcze było.

Wtem z za bufetu podniósł się i wyprostował żółty kozuch gospodarza szynku, i wśród ciszy rozległo się grubym głosem wymówione pytanie:

— A co? papiery przyszły?

Krepy sposobność do gadania wlot pochwycił: Czart niech porwie! Psia mać ich! Papierców

nie przysyłają! zgubić go chcą! Tacy-to przyjaciele i znajomi! Dopóki mu dobrze było, lubili, kłaniali się; teraz pies nawet łapy nie wyciągnie, aby go z biedy wyratować. A był przecież czas, w którym mu dobrze było, oj, oj, jak dobrze! Kiedy w tamte strony przyjechał, takie miejsce dostał, o którym nawet i nie marzył. Cóż? kiedy niedługo szczęścia tego używał. Starał się, z duszy się starał, ale robota była trudna... dla niezdolności przepędzili.

Pięścią w stół uderzył, aż butelka i czarka podskoczyły. On niezdolny! ha! ha! złość i zawiść ludzka, ale nie jego niezdolność. Teraz od sześciu miesięcy włości się wszędzie z prośbami o robotę i znaleźć jej nie może. Dobrze! teraz on już pijakiem jest, zgubioną duszą, robakiem rozdeptanym; ale podówczas ani pijakiem, ani robakiem nie był. Głowę miał tęgą, zawsze trzeźwy, do góry ją podnosił, bo żadnej winy ani plamy na sobie nie miał. To też nie z powodu winy, albo plamy, ale wprost i tylko dla niezdolności przepędzony został. Dali robotę ważną, pensję piękną, a potem powiedzieli, że niezdolny i kolanem w plecy! On niezdolny! ha! ha! Jeszcze kiedy, malcem będąc, ojcu swemu cedrowe orzeszki sprzedawać pomagał, wszyscy znajomi sprytowi jego nadziwić się nie mogli. A Tania! Ona także w dawnych szczęśliwych czasach pyszniła się nim i, klepiąc go po ramieniu, mówiła: »My z tobą, gołąbku, karetą kiedyś jeździć będziemy, po dywanach chodzić«. Ot tobie, Taniu, karetą! ot tobie i dywany!

Przy wspomnieniu o Tani rozkulił się, jak zawsze, bardzo błękitne, okrągłe oczy wilgocią mu zaszczyły. Całą czarkę wychylił od razu i mówić zaczął o dziennikarzu, który na życie jego tak wielki wpływ wywarł, że jemu to właściwie utratę ojcowskiego sklepu, młodości i Tani zawdzięcza. Miał lat 20, czytał i czytał tę gazetę, z początku dla zabawy tylko, potem z namiętną ciekawością i nadzieją. Czarodziejski Sezam¹⁾ otwierała ona przed nim: z jednej strony ideę, z drugiej karierę wskazując.

Idea i za jednym zachodem karyera: mała rzecz! Zrazu sam sobie wierzyć nie chciał, aby mógł służyć idei. Bo cóż? kilka klas gimnazyalnych skończył i tylko co był awans na pomocnika stolonaczelnika otrzymał.

Edukacja piękna i posada także: ani słowa; ale przejście od nich do idei zdawało się jeszcze dalekiem. Dziennikarz inaczej utrzymywał, a jemu dusza rozplywała się z dumy i radości.

Poszedł do tego dziennika:

— Ojciec rodzony mówi — ty mnie oczy na świat otworzyłeś. Dziękuję. Za tydzień już mnie tu nie będzie. Pojadę służyć idei.

On go swoim znajomym zarekomendował, i wszyscy zdrowie jego szampanem wypili. Pierwszy raz wtedy pił szampana — smaczny! I z kimże go pił! Z jakimiś ludźmi!... Kotlety z jarząbków jadł na porcelanie, a lokaje w białych rękawiczkach talerze odmieniali. Wszystko to zaś dlatego,

¹⁾ Bajeczny skarbiec.

ze ideę dziennikarską zrozumiał i służyć jej zapragnął. Wyszedłszy stamtąd z szampanem w głowie, myślał: — »Ej ty, Boże mój, cóż to później będzie, kiedy teraz już tak?«

Już mu teraz żenienie się z Tanią niebardzo do smaku przypadło. Lubił ją, i ona go lubiła, od dawna i z duszy. Porzucić jej nie myślał, ale i kuli do nogi przywiązywać sobie nie chciał. Niechaj dziewczyna na niego poczeka. Wielką już łaskę jej robi, jeżeli kiedykolwiek za żonę ją weźmie. Grzesznym człowiekiem był: to też, widząc się teraz podniesionym i takie mając nadzieje, nie mógł z głowy wyrzucić węża, który w niej gwizdał: »Poco ci wiązać się z córką kiełbaśnicy, kiedy może i generalówna jaka za ciebie wyjdzie, gdy już zasłużysz się idei i na wysokiem krześle siądziesz«. Grzesznym człowiekiem był: to też idea nie zasłaniała przed nim karyery. Stary ojciec płakał: »Pomódz mi niema komu, w trzęsących się rękach sklepu z pomarańczami i orzeszkami nie utrzymam. Rozsypią się, w nędzę wpadnę, sam na tem stracisz«. Matka biadała, i Tania spuchła od płaczu. »Ty tam o mnie, gołąbku, zapomnisz!« On murem przy swoim stał. Nie gnić człowiekowi na jednym miejscu grzybem, ale wzrastać mu w dumę, zaszczyty i pieniądze...

— Ej, gospodarzu, jak ja wyrosłem... a? Wódki! bo pod tę ławę zwałę się zaraz i z żalu pod nosem ci zdechnę! Ot tak! teraz znowu w oczach, jaśniej, i przed pamięcią stają te pola, te pagórki, te dolinki, łaski, rzeki. Naturę lubię,

strach, jak lubię naturę... ja poeta?... A wy kto taki? czego ode mnie chcecie?

Ostatnie słowa zwracał do człowieka, który stanął przed nim, wązkim stołem tylko z nim rozdzielony. Wysoki, cienki, z wyciągniętą naprzód kościstą szyją, wpijał w niego oczy, jak dwa ciemne płomienie rozgorzałe, i trochę drżącemi wargami zaszeptał.

— Dawno powróciliście z tamtych stron?

Krępy gniewnie kołpaka dotknął i krzyknął:

— A tobie co do tego?

— To moje strony.

Może od wódki był ochryply, może go okoliczności życia do cichego mówienia przyzwyczaiły, bo mówił ciągle szeptem. Krępy przeciwnie, krzyczał wtedy nawet, gdy się nie gniewał wcale.

— Jakież czart cię tu przyniósł?

Chudy do gospodarza zwrócił się:

— Wódki!

Powoli, jak automat¹⁾, z oczami wciąż gorejącymi, obok nowego znajomego usiadł.

— Dla karyery... zaszeptał — tak, jak i wy... dla karyery i dla przyjemności... Wypijemy razem, powiecie mi co o tamtych stronach; ja stamtąd rodem... z Glindów.

— Z Glindów... ej ty, Boże mój, wiem! Dwudziestu ich na zagrodach siedzi... procesy im prowadziłem... tam w największą biedę wpadłem... Głupi lud..., orzą, sieją, zbierają, światła nie znają...

¹⁾ Przerząd poruszony za pomocą mechanizmu.

niczego lepszego im się nie chce... prostactwo! — bydło!...

Chudy znowu szeptać zaczął:

— Mój ojciec, Kazimierz Glinda, po przezwisku Żelazny, od tego, że pradziadek na wojnę chodził i charakter miał, jak żelazo, twardy... Tak samo, jak oni wszyscy, orze, sieje, zbiera...

— Znam! Siwy gołąb... stary taki, syna żona tego przy sobie ma, a sam jeszcze niczego sobie... czerstwy, pracuje.

— Widzieliście go?

— Czy raz! Jeździłem do nich za interesami... jadę sobie drogą i patrzę: dzień piękny, słońce świeci, złote pole szerokie, ech, szerokie, jak okiem zarzucić...

— Aha! szerokie, szerokie! Z daleka łąkę widać... na niej chłopcy nocami konie pasa...

— Patrzę sobie raz, aż tu na polu siwy gołąb za plugiem idzie...

— Czy to on był? A jakże on wygląda? Dobre człowieczysko, spracowane, dzieci bardzo kochał... At!

Głową trząść zaczął; coś nakształt uśmiechu rozszerzyło mu wąskie wargi; oczy, w ziemię wpatrzone, mglily się i świeciły. Krępy po raz pierwszy uważnie na niego spojrział. Zaśmiał się.

— Jakiż czart cię tu przyniósł? Czegóż ty aż tu się przywlokłeś, aby po szynkach łazić?

Z uczuciem zdziwienia i urazy chudy szyję wyprostował i odpowiedział:

— Jakto dlaczego? Człowiek ambicyę miał, wysoko stanąć i świata użyć pragnął. Czy to ja

miałem tak, jak oni, orać, siał i zbierać? Na chłopca nie urodziłem się... Zdolności miałem... muzykę lubię... piękne pismo mam... w całej kancelarii najpiękniejsze... ot, zobaczcie... choć to w notatniku, niedbale pisane, ale jak? czy widzieliście kiedy takie pismo? litografia ¹⁾, nie pismo, zobaczcie tylko, bądźcie łaskawi, popatrzcie!

Drżącemi rękami z nadzwyczajną natarciwością notatnik, na zapisanej stronie rozwarły, pod samą twarz towarzysza podsuwał, w oczy mu niemal wpychał. Tamten szeroko ramieniem machnął i książeczkę z chudych palców wytrącił.

— Idź precz ze swoim pisaniem! Na czarta mnie twoje pisanie! Majątek tam miałem i jaki! Obywatelem byłem... dziedzinniec, choć wojsko na nim mustrować, pokojów dziesięć i sala.

Chudy jednocześnie prawil swoje.

— Do biura chodziłem, sekretarza tu przynosili, awans dostał. »Ty, bratku — mówi do mnie — pojechałbyś ze mną. Pismo piękne masz, miejsce dostaniesz, świata użyjesz«. We mnie dusza zatrzęsa się od radości. Szesnaście lat temu, dwadzieścia lat miałem. Co to! w takim mieście mieszkać, na teatry i różne inne hale chodzić, muzyki słuchać... — Nic dla mnie miłszego nad muzykę niema, niegdyś i sam do skrzypiec zdolność miałem... To też na operę człowiek i teraz czasem idzie. A jakże! jak tylko grosz jaki mam, zawsze na raik²⁾ idę i opery słucham... . Szczęścież

¹⁾ Rysunek lub pismo na płycie kamiennej.

²⁾ Najwyższe i najtańsze miejsce w teatrze.

to moje, ta opera! Byliście na Trubadurze?¹⁾ a? Jak ten pieśń z wieży śpiewa? a? Wprost dusza roztapia się w człowieku! Tra-la-la, tra-la-la-la-a-a! Pijciel! Czemu nie pijecie? W butelce już mało? Gospodarzu! Wódki! Byliście na Trubadurze? Ach! jak ten z wieży śpiewa! Tra-la-la-la-la-lu-u-u! Wprost dusza topnieje!

— Zdrowie twoje, mój nowy znajomy! Znasz ty ten majątek? ej! rajska pozycja? Pagórki, dolinki, laski, błękitna rzeka na zielonej łące... Natura, bracie, natura! a ja naturę, strach, jak lubię! Ty muzykę, a ja naturę... obaj my poeci, wypijmy!

— Wypijmy! ja za muzyką przepadam. Byliście na Faworycie?²⁾ Jaka tam aria na damski sopran!³⁾ a? Tra-la-la, tri-li-li-li-i-i! A jeden mój kolega był taki, że mówi do mnie: »Ty jesteś faworytem sekretarza dlatego, że pięknie piszesz. On teraz awans dostał; kiedy chce, abyś jechał z nim, nie bądź durniem, jedź, karierę zrobisz, świata użyjesz«. Durniem ja nie był – oho! Ale, że strach brał, to brał... Jak tu tak daleko jechać!.. a dusza do dalekiego się rwała i swego żałowała... Ale, myślę sobie: co tam! z takim pismem nie zginę! świata użyję, może wysoko zajdę. A co? czy zginąłem? Nie, bracie, nie. Nigdy ja tam nie miałbym tych rozkoszy, co tu na każdym kroku. Na baletach bywacie? a? ot czarodziejki te tancerki! a?

¹⁾ Tytuł opery Verdiego.

²⁾ Tytuł opery Donizettego

³⁾ Wysoki głos.

Myślę sobie czasem, żeby tu Anusia była ze mną i widziała, co ja widzę... milej byłoby we dwoje... Człowiek sam jeden, jak palec... Oj dziewczyno, oj kalino, jedyna mo-o-o-ja... Wypijmy!

— Spojrzałem ja, bracie, na pola, na lasy, na łąki i myślę sobie, natura, ej, ej, natura, piękności ty moja! Ty muzykę lubisz, a ja naturę... obaj my poci. Ale jak przyszło do gospodarstwa, Boże ty mój, w książkę patrzę, a ligę widzę. Ani ty rusz, bracie mój miły. Do pomocnika stołonaczelnika dosłużyłem się: ze stołonaczelnikowstwa dla niezdolności przepędzili... gdzie mnie tu gospodarzyć! W dzierżawę wypuściłem, przyjaciół i znajomych zaprosiłem: przyjeżdżajcie choć codzień, z duszy rad będę, sala u mnie, jak kościół, dziesięć pokoiów, kucharz! Przyjeżdżali, bawiliśmy się. Przyjaciele mówią: »Kpij z niepowodzenia! Obywatелеm teraz jesteś, marszałkiem zostaniesz!« Czemu nie! myślę sobie, może i zostanę. Ot, siurpryza!¹⁾ Fotografię tego dziennikarza na ścianie powiesiłem i codzień kłaniałem się przed nią nisko: »Dziękuję, dobrodzieju, że mi oczy na świat otworzyłeś. Pierwszy raz matka mnie urodziła, a drugi raz ty, bo innym ja człowiekiem teraz jestem, a jakim jeszcze będę, ho, ho!« Wtem bęc, majątek na licytację wystawiają. Co za dyabel? Raty bankowe... Za bankowy dług kupiłem, o ratach zapomniałem! Czart niech porwie. Do dzierżawcy: Dawaj pieniędzy! Szelma nie dał! Bądźcie zdrowe, pagótki, dolinki,

¹⁾ Niespodzianka.

laski, błękitna rzeka na zielonej łące... Z naturą rozstałem się, bratku; niczego nie żalowałem tak, jak natury... Sala też przepadła... Nalej wódki! Strach, jak ja naturę... ty muzykę, ja naturę, obaj my... lej jeszcze... poeci!

Tamten nalewał, ożywił się bardzo, z szeptu w cienki dyskant wpadał:

— Duszę ja moją przed wami otwieram... Co robić? Trzebaż duszę choć raz otworzyć, bo nazybierało się w niej tyle, że pod samo gardło lezie i dusi, a taka bestya słona, że wódką nawet nie zalejesz... Ojciec siwy goląb... czy bardzo staro wygląda? A brata mego, Antoniego, znacie! Dobrze mu: takim już szczęśliwym przyszedł na świat! Ambicyi nie miał, dalekiego świata ciekawym nie był... trzy klasy skończył, do chaty powrócił, orze, sieje... wieczorami książki czyta... W zimowe wieczory lampa na stole, ogień na kominie, czytają, albo z sąsiadami śpiewają... Słyszeliście kiedy piosnkę: »Piękne narcyzy, śliczne tulipa-a-any...«, albo tę: »Wyszła dziewczyna, wyszła jedyna...« Anusia Glindzianka śpiewała... ej, nie Glindzianka już ona; za mąż wyszła... Kiedym wyjeżdżał, schowała się między wiśnie i płakała... Mnie ciekawość paliła: jak też to wyglądają baletnice? Bywacie na baletach? Ja bywam... czasem... a jakże! Ot, czarodziejki te tancerki! Jak ich wyleci na scenę ze czterdzieści... Anusia między wiśniami płakała. Ptaszyna moja, złota, dawna... dawna... Jak to już dawno było... szesnaście lat... postarzałem... zmarniałem... Anusiaby mnie nie poznała... Nalejcie...

pełno! Płaszku, płaszku, skąd przyla-a-a-ta-a-asz...
Zdrowie wasze... czy nie z moich stron...

Zupełnie jednocześnie z chudym krępy prawił, tak, że dwa ich głosy: jeden — gruby i bez gniewu gniewliwy, drugi — cienki i piskliwy, zlewały się z sobą w dwoistą całość.

— Czart niech porwie psie moje życie! W miasteczku osiadłem, chłopom i Żydom procesy prowadziłem... Wstyd, bratku, poniżenie i — bieda! Wtedy już Tania przed oczyma mnie, jak stała, tak stała. Napisałem do znajomych: »Co z nią, gołąbką najmiłszą, dzieje się?« Odpisują: »Za mąż poszła!« Ja do szynku i — upiłem się. Pierwszy raz wtedy upiłem się, a potem już... oj, ty Boże mój! sierotą ja tam byłem, wyspą samotną na dalekiem, nieznanym, obojętnym morzu... Nikt tam mego ojca i mojej matki nie znał, ani do mnie powiedzieć nie mógł: »Pamiętasz, błaznie, jak ci nos ucierałem?« Nikogo nie obchodziłem, nikt mnie nie obchodził, nikogo nie wstydziłem się, nikt nie zawstydził, nie zgromił, nie poradził, nad przepaścią nie zatrzymał... Bęc! po same uszy wpadłem! Ej, wyspa samotna na dalekiem, nieznanym, obojętnym morzu, w morzu utonęła. Gospodarzu, ojcze kochany, wódki!

Coraz cieńszy i piskliwszy dyskant zawodził: »Wyspą samotną na wielkiem morzu siedzę... Nikt tu mego ojca ani matki nie zna i powiedzieć nie może: »Pamiętasz, błaznie, jakieś bosi na łąkach nocami konie pasali«. Ehe, noce nasze letnie, z rosą na trawie, z gwiazdami na niebie, z lasem grającym... Dwadzieścia rubli na miesiąc

biorę... od razu brałem piętnaście... teraz dwadzieścia... buty z nóg spadają... czasem na balet chodzę... wszyscy mówią: »Pismo bardzo piękne!« Mój Glindowie po przezwisku Żelaźni... pradziad mój wojny chodził, ojciec, choć siwy, jeszcze za płótnem chodzi... ja pięknie piszę... popatrzajcie, zmierzajcie się... czy to kaligrafia jest, czy litografia? a Niezdolny, mówią... Jakto? a pismo! zobacz tylko... pismo...

— Do dyabelskiej matki idź ty, ze swojem pismem razem! Sześć miesięcy już przeszło, odkąd tu wróciłem... łączę wszędzie, o robotę proszę...

— Pojechałbym ja tam, bracie kochany, a pojechałbym choć na miesiąc, choć na tydzień ale wydatki wielkie... Tu codziennie, czasem na Trubadura... a balet?

— Piętnaście lat, najlepsza młodość moja wszystko zmieniło się... dawni przyjaciele zapomnieli, albo powyjeżdżali, albo zapomnieli, że kiedykolwiek na świecie żyłem... Gdzie pójdę, wszyscy mówią: »pijak, z twarzy znać...« Matka, nie pogostawiawszy, umarła, ojciec w nędzę wpadł, Tam za mąż poszła...

— Lampa na stole, ogień na kominiarce... ciepło śpiewają... »Ptaszku, ptaszku, co przylatasz...«

Tamten krzychał:

— Słuchajże, ty, kiedy mówię! Do dziennikarza poszedłem, pokłoniłem się mu: »Ojczy, mów ty mnie wprzód doradzałeś, doradź i teraz!« A on mnie lokajowi w białych rękawiczkach wyprowadzić kazał. »Pijak!« — krzychał. — A pijak to i co? Czy wprzód byłem pijakiem?

Możę z moich stro-o-o-n...

Butelki i czaraki od uderzenia pięścią w stół zadzwoniły:

— Ale ja jemu pokażę jeszcze, kto ja taki! Jeszcze mnie z kuli ziemskiej nie zrzucili! jeszcze wrogi moje przede mną z rękami jak struny..

»A gdy, ptaszku, nie przylecisz
Z tych tam pięknych stro-o-on...«

Nagle umilkli obaj, nie wiedzieć dlaczego; długo głęboko patrzyli sobie w oczy i głowami trzęśli, trzęśli, wciąż milcząc.

Krepy pierwszy śmiechem parsknął, z ławy zerwał się i, z rękami na kłębach przed gospodarzem stojąc, krzyczał:

— Niech tylko papiery przyjdą, a ja znowu w górę pójdę; w górę... na wysokiem krześle siadę i wrogom moim figę pod nos, a kolanem w plecy..

Dyskant śpiewał:

»Nikt tu po mnie nie zapłacze,
Bo ja z obcych stro-o-on...«

— A ty, Tanieczku, pożałujesz, że czekać na mnie nie chciałaś! Za mąż poszłaś! Aha! A teraz ja na wysokiem krześle siedzę, karetą jeżdżę, po dywanach chodzę, a ty, gołąbko, żałujesz, aha!

Gospodarz szkłem przy bufecie brząkał, w ciemnym kącie zegar tętnił; za oknem, po zamarzłym śniegu zgrzytając, przelatywały sanki, z których niegłośnem dzwonieniem łączył się ostry gwizd

powożącego, lub krótkie, głośne łajanie powożonego: »Ej ty, dyabelski bałwanie, szybciej!« — zaś na ławie wysoki, chudy człowiek, w poplamionym paltocie, z białą gwiazdką nad wykrzywionym daszkiem czapki, z plecami do ściany przylgniętymi, a oczami, zaszłemi wilgocią mętnych łez, dyskantem śpiewał:

»Po mej śmierci nie zadzwoni
Mój ojczysty dzwon!...«

BIBLIOTEKA

MARJA KONOPNICKA

NIEMCZAKI

WYDANIE NOWE



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.

□□ Druk W. I. Anczyca i Spółki w Krakowie. □□

Poszła za Niemca. No, trudno! Tego już nikt nie zmieni. Nie była zresztą Wandą, była Felcią; nie mieszkała nawet nad Wisłą.

Dwór wiejski, z którego była rodem, zapadał się wiek po wieku i belka po belce w ten klin żyznej ziemi, która, między Nerem a Wartą leżąc, łączycaków od kaliszanów grodzi. Inaczej, gęściej jeszcze i hałaśliwiej szłyby między nimi owe stare spory, które, z jakichkolwiek przyczyn powstałe, regularnie ¹⁾ się kończą jednym argumentem ²⁾: ze strony kaliszanów, że łączycaki, jak piskorze piją; a ze strony łączycaków, że kaliszany kiedyś tam zblamowali ³⁾ się szpetną ⁴⁾ rejteradą ⁵⁾. Ano, Bóg z nimi.

Zapadał się tedy ów dwór stary, belka po belce i wiek po wieku; syny po ojcach, wnuki po dziadach szły, a nad każdym pokoleniem pułap coraz to był niższy, coraz to bardziej tłoczący. Aż ścisnął ich wreszcie tak, że ze starego prastarego gniazda wyszli i po świecie roztulali się jakoś.

¹⁾ *Regularnie* — jednostajnie. — ²⁾ *Argument* — dowód. — ³⁾ *Zblamować się* — ośmieszyć się. — ⁴⁾ *Szpetny* — brzydki, paskudny. — ⁵⁾ *Rejterada* — ucieczka.

Synów miał ostatni dziedzic kilku; poszło to, jakby tem wiatr pomiótł, tam, sam, nie wybierając wielce, a całą fortunę¹⁾ w węzełkach niosąc. Ale córka jedna była, Felcia. Tę, gdy się krewnej na opiekę do Prus dostała, Niemiec jeden upodobał wielce, a że był młody, przystojny, pracowity i proceder²⁾ kupiecki dość mu zysków czynił, wyszła za niego dziewczynina, nad czem stary pan starego dworu, teraz na rezydencyi³⁾ u krewniaków aż gdzieś w ziemi krakowskiej siedzący, długo bolał skrycie.

Co do Felci, ta była szczęśliwą.

— Takie to tam i szczęście! — mówił stary pan, paląc długą fajkę i kiwając głową. — Postaw z bławatu, a wątek pacześny!⁴⁾

Zachmurzył się i mówić o tem wogóle nie lubił i listy nawet do córki dawał adresować komu ninemu, żeby własną ręką nie stwierdzać zniemczenia się rodu. Co do zięcia, tego stale »szwabem« lub »kupużykiem« nazywał; a gdy mu z biegiem czasu dwóch wnuków przybyło:

— Tem gorzej! — mawiał — tem gorzej! Lepiej, żeby to zgaśło⁵⁾, niż ma degenerować⁶⁾.

I rzeczywiście, zaczęło się jakoś na zgaśnię-

¹⁾ *Fortuna* — majątek. — ²⁾ *Proceder* — zajęcie. —

³⁾ *Rezydencya* -- tutaj: zamieszkiwanie u kogoś na łaskawym chlebie. — ⁴⁾ Jest to porównanie, wzięte z roboty tkackiej: jakby się robiło tkaninę z dwu rodzajów: jedwabnej (bławat) i konopnej (pacześ), to samo i małżeństwo Polki z Niemcem. -- ⁵⁾ To jest, żeby ród wygaś. — ⁶⁾ *Degenerować się* — zwyrodniać się.

cie mieć, bo chłopaczki były delikatne i wátłe, czem się matka niemało trapiła.

— Chłopaczki moje biedne — pisała do krewniaków w Krakowskie — nie mają tego powietrza, jakim oddycha droga wasza dziatwa! Nie mają pól, nie mają łąk, żeby biegać po nich, nie mają zapachu lasów, rosy, kwiatów, nie mają słońca naszego, coby ich krzepiło..

— Jak myślisz? — rzekł gospodarz po liście tym do żony. Możeby tych tam malców Felci na wakacye wziąć?

— A może?

Ale stary pan oburknał się na to.

— Jak tak — mówi — jak mi tu sprowadzać chcecie tych szwabów, to ja się zawczasu wynoszę.

Nie wyniósł się jednak. Miał tu wygodę, czuł serce, a nadewszystko tę atmosferę¹⁾ obywatelskiego życia, od której późno mu było odwykać. Tu jeszcze mógł, w ganku stanąwszy, huknąć na całe gardło: »Zaprzęgaj!« tak, że echo, po trzykroć od węglów stodoły odbite, aż u lamusa²⁾ gdzieś cichło. Tu chłop, przechodzący mimo dworu, czapkę jeszcze zdejmował, czy był kto, czy nie był w ganku. Tu co niedziela siadywał w kołatorskiej³⁾ ławce, gdzie mu gospodarz, jako starszemu wiekiem, przy kobietach miejsca ustępował; tu wreszcie miał swoją sławną wyżlicę »Czajkę«

¹⁾ *Atmosfera* — otoczenie. — ²⁾ *Lamus* — skład do chowania różnych rzeczy. — ³⁾ *Kołator* — obywatel, właściciel majątku, gdzie jest kościół, dobrodziej kościoła, zajmuje w nim pierwszą ławkę.

i niemniej sławną strzelbę »porucznikówkę«, z której sobie lubił czasem do wron puknąć. Słowem, tu jeszcze pod nogami grunt czuł, był obywatel.

Nie wyniósł się tedy. A choć się zżymał, kiedy listy, układające podróż chłopców, zaczęły gęściej latać, choć zamknął się, gdy konie po dzieci na stację szły, przecież, posłyszawszy, jak wracająca nejtyczanka¹⁾ zatarkotała na podbrukowaniu, a Wojciech z bata pałał — wyszedł z fajką na ganek, a że ogromnego wzrostu był, chłopcom się przez głowy gospodarzy i domowników przyglądał.

Raźne to było, jak skierki²⁾, ruchliwe, eleganckie, opięte, ale zmizerowane³⁾ bardzo. Twarzyczki błędnachne, jasnowłose główki, ciała szczupłe, rączyny i nożęta cienkie — ot, chucherka takie.

W ganku gospodarz uściskał ich serdecznie, gospodyni także, czem dzieci, jakby przestraszone nieco, kłaniały się na wszystkie strony, od rodziców widać pięknie wyuczone, jak z nut szczebiocząc jeden przez drugiego:

— *Guten Tag, lieber Onkel!*⁴⁾

— *Guten Tag, liebe Tante!*⁵⁾

— Tfu! — dało się słyszeć w tem miejscu energiczne⁶⁾ splunięcie starego pana w chwili właś-

¹⁾ *Nejtyczanka* — bryczka, z tyłu nieco podniesiona, z wasagiem wyplatany. — ²⁾ *Skierka* — iskierka. — ³⁾ *Zmizerowany* — wąły, wybladły. — ⁴⁾ *Dzień dobry, kochany wuju!* (niemieckie). — ⁵⁾ *Dzień dobry, kochana ciotko!* (niemieckie). — ⁶⁾ *Energiczny* — stanowczy, dzielny, mocny.

nie, kiedy starszy z chłopiąt, siedmiolatek, recytował¹⁾ w powietrze, nie wiedząc właściwie, do kogo się zwrócić:

— *Guten Tag, liebster Gross-Papa!*²⁾.

Służba parskala w garście śmiechem za plecami państwa. Te małe, pięknie ubrane i tak rezolutne³⁾ paniczki zupełnie jej się wydały podobnymi do tych, nie przymierzając, małpek uczonych, które niedźwiednik na ramieniu nosi. Słyszane rzeczy, żeby zaś takie bębny po niemiecku mówiły, jak te stare kolonisty z Ręczaja?

Ale gospodarz i gospodyni zachwyceni byli dzieciakami. Ich bystre, inteligentne twarzyczki, ich śmiałość, ich dobre ułożenie, ich obyczaje z ludźmi, wszystko to podobało im się niezmiernie. Nawet ta ich subtelność⁴⁾ chwylała za serce: takie to było przejrzyste, takie się proszące słońca i opieki. Domowe dzieci obstały chłopców dookoła, dotykając ich pięknie skrojonych kurteczek, zręcznych kapelusików, torbek podróżnych, a nade wszystko rękawiczek, których nie nosiły jeszcze same. O witaniu, rzecz prosta, nie było na teraz mowy: rekognoskowały⁵⁾ dopiero. Jedna tylko trzechletnia dziewczynka, nastawiwszy do pocałunku rozchylone usta, dreptała od jednego do drugiego; zadzierając jasną główkę i obnosząc »buzi«.

1) *Recytować* — powtarzać coś wyuczonego na pamięć. — 2) *Dzień dobry*, najdroższemu dziadkowi! (niemieckie). — 3) *Rezolutny* — roztropny. — 4) *Subtelność* — delikatność, wążłość. — 5) *Rekognoskować* — rozpoznawać.

— Jak wody! jak wody, tak to dziecko buzi daję! Nie nie żałuję! — wołała zachwycona niania, pragnąc choć część powszechnej uwagi zwrócić na swoją pieszczotkę.

Ale stary pan, we drzwiach za wszystkimi stojący, nie zrobił kroku naprzód, tylko, pykając fajkę i dmuchając w wąsy, patrzy na malców z pod brwi siwych, zsuniętych, krzaczastych.

— No, jakże, wuju! — zwrócił się do niego żywo gospodarz. — Jakże się wujowi chłopaki wydają? Zuchy, co? Taką drogę, i sami przebyli!

— A! — machnął ręką zapytany — wsadzili ich, jak lalki w pudło, to i przyjechali.

— No, ale ładne chłopaki? sprytne? dobrze ułożone?

— Niemczaki! — odrzekł na to stary pan i, odąwszy wargi, rękę tylko wyciągnął do pocałowania chłopcom, których w tej chwili właśnie gospodyni podprowadziła do dziadka. Poczem cofnął się i drzwi pokoju swego zamknął.

— Jakże ci na imię, kochanie? — spytała gospodyni serdecznym głosem, chcąc zatrzeć wrażenie tego powitania.

Okazało się, że chłopiec niebardzo wie, o co go pytają. Powszechne zdziwienie. Więc nie umie po polsku? Coś nie coś umie, ale nietyło, żeby się rozmówić. Umie pacierz, umie nazwać ziemię i wieś, w której się urodziła matka, umie nawet wymówić nazwisko jej panięńskie, nazwisko dziadka. Ale i to wszystko kałeczy... Jakże? Mama cały dzień w sklepie, ojciec w kantorze, a służąca — Niemka.

Tak i tak dowiedziano się nareszcie, że starszemu na imię Gustaw, a młodszemu Henryk. Imiona te przyjęto wprowadzić do wiadomości, ale się nimi jakoś nie posługiwano.

Natomiast przyłgnęła do nich szczerlnie i odrazu nazwa, nadana przez dziadka: »Niemczaki«.

Dzieci chwyciły to pierwsze, za dziećmi służba, gospodarze też jakoś to przyjęli, dość, że w całym dworze, ba, we wsi, nikt chłopców nie nazywał inaczej:

— Niemczaki, na obiad!

— Niemczaki, chcccie mleka?

— Niemczaki, spać!

Prawie też, że i nie było o co więcej wolać. Chłopaczki były karne, łagodne, uprzejme, wesołe, a tak się pilnowały wzajem we wszelkim porządku, jakby tego i bona lepiej nie zrobiła. To też ta nazwa: »Niemczaki« nie miała w sobie nic wzgardliwego, nic nieprzyjaznego. Raz wraz owszem powtarzano domowym dzieciom:

— Patrzcie, jakie to Niemczaki mają czyste ręce! Widzicie, jak to starszy Niemczak młodszemu nosek obciera? Patrzcie, jakie Niemczaki zgodne, jak się nie biją, nie kłócą! Czemu to wy nie jesteście tak, jak Niemczaki, posłuszne i grzeczne?

Chłopcy też do tej nazwy jakoś przywykli, i tak do nich jak skóra przyrosła.

Minął miesiąc, minął drugi — Niemczaki, lubo z silnym akcentem, wcale nieźle po polsku szczerbiotać zaczęli, przez co się jeszcze miłsi, jeszcze bliżsi wszystkim uczynili. Niemczaki przecież zo-

stali. Co do dziadka, ten zawsze na nich patrzył mrocznie. On sam czuł ciągle i pamiętał tę obcość ich rodu; on sam utrzymywał rozdział między sobą a wnukami; on sam też jeden w całym domu nadawał tej nazwie »Niemczaki« coś wzgardliwego, coś obraźliwego. Domowych chłopców, którzy mu byli jako żerdź po płocie¹⁾, na kolana brał, piosenki im stare gwizdał, myśliwskim swoim rogim bawić się dawał, Czajki, wygrzewającej się na słońcu, dosiadać i targać za uszy nie bronił, ale Niemczakom — wara! Zdaleka tylko patrzeć na to musiały. Im nie było wolno. Co gorsza, wyłączone były z »Instrukcyi«. Instrukcją nazywał stary pan ćwiczenia swego pomysłu, rodzaj mustry, w której chłopcy to nosili kije jak strzelby, maszerując dokoła klombów, to uderzali niemi na płoty, jak bagnetami, to machali, broniąc się i atakując²⁾, jak szpadą, to ciskali, jak oszczepem³⁾, wszystko podług swego czasu, bo każdy dzień miał inne prawidła.

Nieprzypuszczone do »Instrukcyi« Niemczaki stały tymczasem zdaleka, miłosiernie patrząc i zazdroszcząc w duchu.

Starszy szczególnie, aż rumieńców dostawał na delikatnej twarzyczce, z taką pożądlivością na ćwiczenia patrzył.

Widziała to gospodyni i żal jej było dzieci.

— A czemuż to wuj Niemczaków nie weźmie do mustry? — rzecze raz i drugi.

¹⁾ T. j. między nimi dalekie pokrewieństwo. — ²⁾ *Atakować* — napadać. — ³⁾ *Oszczep* — dzida, włócznia.

— A im to na co? — odburknął stary pan gniewnie. A zmiarkowawszy się, dodał:

— Za słabi są na taką »Instrukcyę«. Ręce jak patyki, nogi, jak trzcinki, jeszczeby się to połamało, do dyaska¹⁾.

O tych rękach jak patykach i nogach jak trzcinkach mówiło się — o! aby mówić. Chłopaczki bowiem, harując przez parę miesięcy po łąkach i polach, ogorzały, wzmacniały, zjędrniały nad podziw. Niechętne tylko oczy dziada nie chciały widzieć tego.

Nie o to mu w gruncie rzeczy szło.

— Co w takich Niemczakach może być męskiego, rycerskiego, dziarskiego, szlacheckiego, obywatelskiego, co by rozwijać warto? Z łokcia to wyrosło i do łokcia pójdzie²⁾ — o! co!

Tak sobie rozumował pan stary. Właściwie to i nie rozumował nawet. On tylko to czuł; a czucie upartsze bywa, niż rozumowanie.

Zdarzało się, że podczas »Instrukcyi« trzeba było szerzej front³⁾ rozwinąć, albo wzmocnić flanki⁴⁾. Stary pan rozglądał się wtedy i, choć widział chłopaczków pokornie stojących, wołał Antka ogrodniczka, lub Józka szafarki, a Niemczaków na uboczu zostawiał.

Ale mieli i oni swoje uciechy.

Szczególniej starszy, kręcąc się u stajen, albo

¹⁾ *Dyasek* — dyabeł. — ²⁾ To jest: są synami kupca i sami kupcami zostaną. — ³⁾ *Front* — oddział wojska, zajmujący miejsce pośrodku pierwszej linii. — ⁴⁾ *Flank* — oddziały wojska, stojące po bokach.

na wygonie¹⁾, w łaskach u koniarków był, bo im nieraz podwieczorek oddawał, za którą to cenę, zrazu podsadzany, potem sam pierwszego lepszego źrebca za grzywę chwycił, dosiadał i oklep po pastwisku uganiał. Co go uczyniło do konia tak śmiałym i taką w nim rozwinęło siłę, że nawet do »Rokity« śmiało szedł i na grzbiet mu skakał, choć ten koń był z narowów znany i dla dobrego nawet jeźdźca niebardzo bezpieczny.

Oczywiście, że te imprezy²⁾ trzymane były w zupełnej tajemnicy: młodszy tylko Niemezak, który starszego na krok nie odstępował, przypuszczony był do nich na widza! Ale ten umiał sekret utrzymać i kawalerskim³⁾ honorem równie jak starszy się rządził. Ogromnie się te chłopczyki kochały!

Zdarzało się też, że sami we dwóch urządzali sobie na własną rękę »Instrukcyę«, przyczem starszy dziwnie czupurnie naśladował komendę starego pana, a młodszy ruchy domowych chłopców wlot chwycił. Zwłaszcza w atakach na bagnety pędrak ten celował. Kiedy się na nożynach rozstawił, bokiem nieco zwrócił, kij ujął i, oganiając się to na lewo, to na prawo, w cel godził, czy w psią budę, czy w krzak jałowcu, czy w grochowe tyczki, reprezentujące⁴⁾ nieprzyjacielską potencję⁵⁾ — tak mu to wszystko składnie szło, jakby się w szermierstwie⁶⁾ owszem od pieluch był ćwiczył.

¹⁾ Wygon — pastwisko. — ²⁾ Impreza — przedsięwzięcie. — ³⁾ Kawalerski — tu: rycerski. — ⁴⁾ Reprezentować — przedstawiać. — ⁵⁾ Potencja — siła, potęga. — ⁶⁾ Szermierstwo — sztuka władania białą bronią.

Patrzył dziad na to nieufnie, niechętnie, umyślnie w stronę odwracając głowę.

— Ależ to istny żuaw¹⁾, ten chłopak! — wykrzykiwał gospodarz z podziwem.

— Oł, szwabskie małpiarstwo²⁾ i tyle! Czy składność żołnierza robi? To dusza go robi, mości dobrodzieju, dusza!

Raz tylko, kiedy po walnej wygranej Niemczaki na kiju uwiązali chustkę i, z tryumfem³⁾ mimo ganku idąc, wzniesli okrzyk zwycięstwa, jakiego dziad świeżo domowych chłopców wychytał, stary pan otworzył usta, brwi podniósł, przechylił głowę, słuchał, a potem z cicha:

• — A kto ich wie? A może?...

Po dawnemu ich wszakże zdaleka od »Instrukcyi« trzymał.

Jakoś gospodarzowi to markotno było. Więc kiedy wypadł objazd dalszego folwarku, a konia mu przed ganek po takiej właśnie »Instrukcyi« podano, spojrzął na starszego z chłopców i, kładąc nogę w strzemie, krzyknął:

— Niemczak! Chcesz się konno przejechać?

Skoczył chłopak jak iskra, gospodarz go przed siebie wziął, cmoknął, a młody, rwisty⁴⁾ koń w szczupakach⁵⁾ z miejsca pomknął.

— Uważaj! — krzyknął stary pan z ganku — bo cię ten waryat z kulbaki⁶⁾ wysadzi.

¹⁾ Żuaw — żołnierz francusko - afrykański, w ubraniu wschodniem. — ²⁾ Małpiarstwo — naśladownictwo. — ³⁾ Tryumf — radość z powodu zwycięstwa. — ⁴⁾ Rwisty — rączy. — ⁵⁾ T. j. w skokach. — ⁶⁾ Kulbaka — wysokie siodło.

— Oho! Nie dam się! — odkrzyknął jeździec, ale głos jego już do ganku echem tylko doleciał, tak koń rwał drogę przed sobą. Folgował¹⁾ mu pan, bo lubił to ogniste zwierzę. Po żyłach mu taka jazda szła, jak mówił, więc choć żona truchlała, ile razy na Rokitę siadał, nie byłby go oddał za nic, ani się wyrzekł swoich na nim harców.

Jeszcze wszakże do folwarku było drogi kęs, kiedy osadził konia i, przyłożywszy rękę do oczu, pod słońce patrzył. Ale im dłużej patrzył, tem głębsza zmarszczka znaczyła mu czoło. Za ugorrem, który tuż przy drodze chłop orał, widać było kupę ludzi i wozy ze zbożem. Jak się to jednak często przy złem rozporządzeniu robotnikiem zdarza, w polu ludzie stali, czekając na wozy, a u stodoł znów wozy stały, za mało rąk mając do składowania z nich użątku²⁾. Nic bardziej drażniącego dla gospodarza, nad widok takiej niesprawy.

Na przelaj³⁾ zrazu jeździec chciał, ale mu konia na świeży podór⁴⁾ żał było; ku drodze spojrział, ale mu się jej więcej zdało, niżeli cierpliwości czuł w sobie. Krzyknął tedy na chłopca, uzdę mu i dziecko potrzymać kazał, a sam, szerokim i zirytowanym⁵⁾ krokiem ku żniwiarzom się puścił.

Był już przy nich, już słyhać było jego grzmiącą komendę, kiedy woły splątały się w pługu i, przewróciwszy do góry krojem⁶⁾, ciągnęły po

¹⁾ *Folgować* — tu: pozwalać. — ²⁾ *Użątek* — zżęte zboże, snopy. — ³⁾ *Na przelaj* — w poprzek pola, bez drogi. — ⁴⁾ *Podór* — świeżo zorane pole. — ⁵⁾ *Zirytować* — zgniewać. — ⁶⁾ *Krój* — tu: nóż u pługa, krający skibę pługowo.

skibach¹⁾. Krzyknął chłop raz, krzyknął drugi, a widząc, że nie pomaga, zaklął siarczyście, chłopcu uzdeczkę rzucił i do wołów skoczył.

Malcowi zaiskrzyły się oczy, rozdeły drobne nozdrza, ścisnął uzdeczkę w garści, konia piętą w bok, i tyleś go widział! Właśnie jakby go wiatr zdmuchnął.

— Paniczu! paniczu! — wrzeszczy chłop, mocując się na nawrocie²⁾ z wołami. Gdzie! Ani mowy, żeby go usłyszał.

Obejrzał się na to wołanie gospodarz — struchlał.

— Niemczak! — zakrzyknie — Chryste Panie! Cudze dziecko!

Rzucił się do woza.

— Wyprzęgać! Gonić!

Ręce mu się trzęsą, scyzorykiem rzemienie rozrzyna, ale nim na konia oklep skoczył, już tylko kłab pyłu polatywał drogą.

Stał pan stary w ganku i, wypaliwszy fajkę, wytrząsał ją właśnie, kiedy posłyszał jakiś szalony tętent. Jeszcze nie zdążył pomiarkować gdzie i z jakiej strony, już Rokita jak wichur na dziedziniec wleciał, a na Rokicie trochę błady, ale tego się trzymający w siodle — Niemczak. Jasna, perkalowa bluzka w powietrzu powiewa, oczęta rozpromienione, uśmiech szczęścia w twarzy; koło u kwietnika zatoczył i prosto przed ganek.

¹⁾ Skiba — pas ziemi odwałony pługiem. — ²⁾ Nawrót — brzeg pola, od którego wraca się z pługiem.

Wypuścił dziad cybuch¹⁾, otworzył ramiona, zaniemiał. A już też gospodarz nadlatywał w ogniach²⁾ cały i za nздеczkę chwycił, słowa na razie przemówić niezdolny.

Porwał z siodła Niemczaka pan stary i długo na piersi go tulił, śmiejąc się i płacząc razem.

— Nasza krew! Nasza... Nasz ród stary! poczeiwy! szlachecki! — wołał, całując chłopca po włosach, po twarzy, a kiedy go wreszcie puścił i oczy otarł:

— A co, Stefanie! — rzekł. — Choćbyśmy go Stachem nazwali.....

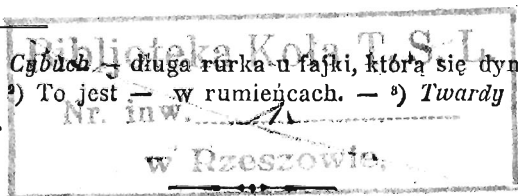
— — — — —

Kiedy twardą³⁾ jesienią przybył ojciec, żeby chłopców zabrać i za opiekę nad nimi dziękować, nie poznał ich prawie, tak zakwitli zdrowiem i świeżością.

Zagaądał do starszego, a ów z miejsca, choć z akcentem jeszcze:

— Ty do mnie, ojciec, po polsku mów, bo ja ciebie nie rozumiem!

1) *Cybuch* — długa rurka u fajki, którą się dym ciągnie. — 2) To jest — w rumieńcach. — 3) *Twardy* — tu: mroźny.



AD-3724

AD-3724



001-0004071--0

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Rzeszowie